

MAGAZYN *razem z dodatkami*

- Polska w epoce sztucznej inteligencji. Prof. Duch o tym, co zabierze i co da AI?
 - Agresja w przedszkolu. Rodzice proszą o pomoc
 - Kulisy pracy kontrolerów ruchu lotniczego
- PLUS** TELEMAGAZYN z programem TV i zapowiedziami najciekawszych programów w tygodniu



Express BYDGOSKI

Piątek
27.02.2026

Nr 48 (11236)
Rok XXXVII

www.expressbydgoski.pl
Cena 6,50 zł (w tym 8% VAT)



FOT. DARIUSZ BŁOCH

Policyjne dane wskazują, że w Bydgoszczy spada liczba wypadków **str. 6**

Kronika bydgoska.
My tu sobie marudzimy, a tam świat płonie **str. 2**

Nr ISSN 1230-9192

Nr indeksu 350680



Bydgoski zwiastun wiosny ma na imię Maciek



Nie trzeba prognoz ani kalendarza astronomicznego. Wystarczy jedno spojrzenie na gniazdo w bydgoskim Łęgnowie-Wsi. Bocian Maciek znów przyleciał, po raz 33., a mieszkańcy nie mają wątpliwości - to znak, że zima przechodzi do historii. Teraz czeka na Stefanię! **str. 8**

FOT. DARIUSZ BŁOCH

Mafia śmieciowa w Pakości.

Wśród zatrzymanych jest między innymi były burmistrz **str. 4**

Przedstawiciele firm zbrojeniowych apelują do prezydenta o podpisanie umowy o **SAFE str. 9**

Najniższa emerytura w Polsce? To 2 grosze brutto na Dolnym Śląsku i Lubelszczyźnie. **W naszym regionie „rekordzista” dostaje 6 groszy brutto str. 12**

Sejmik województwa ma nową radną. To Bydgoszczanka **Katarzyna Stranz-Kaja str. 8**

TYDZIEŃ Z „EXPRESSEM”

SOBOTA ● Wiktor Zborowski miał być koszykarzem	PONIEDZIAŁEK ● Sportowe wydarzenia, wyniki i tabele z weekendu	WTOREK ● Strefa biznesu - analizy i in- formacje gospodarcze	ŚRODA ● Otyłość można leczyć na NFZ za darmo!	CZWARTEK ● Obława krakowskiej policji na pewnego kasiarza!	PIĄTEK ● Hejtowani i hejterzy. Jaka wina taka kara?
---	---	---	--	---	--

ZAMÓW PRENUMERATĘ: tel. 52 511 94 64, bok.prenumerata@polskapress.pl, prenumerata.expressbydgoski.pl

Marek Mazurkiewicz
publicysta



NIEBEZPIECZNA GRA FOBAMI

Na kartach polskiej historii zapisało się wielu negatywnych bohaterów, ale tylko kilku z nich potrafimy bez trudu wymienić. Szczególną rolę odegrała w tym także literatura, która w istotny sposób ukształtowała nasz pogląd na przeszłość. Henryk Sienkiewicz w „Potopie” w bardzo negatywnych barwach sportretował Janusza Radziwiłła, którego dzięki temu zapamiętaliśmy jako zdrajcę I Rzeczypospolitej.

Plastycznie przedstawił tę historię Jerzy Hoffmann w swojej kinowej ekranizacji „Potopu”. W jednej z kluczowych scen filmu Onufry Zagłoba „po trzykroć” określa Janusza Radziwiłła zdrajcą, a zgromadzeni w sali szlachcice, na czele z Wołodyjowskim, rzucają pod nogi magnata swoje pułkownikowskie butelki, wymawiając mu w ten sposób posłuszeństwo - w reakcji na toast na cześć króla szwedzkiego.

Współczesna historiografia relatywizuje ocenę Radziwiłła i rzuca nowe światło na kontekst oraz przyczyny zawarcia ze Szwedami układu w Kiejdanach z 1655 r. Na jego mocy Wielkie Księstwo Litewskie miało wejść pod szwedzki protektorat. Janusz Radziwiłł i jego kuzyn Bogusław mieli podjąć tę decyzję, stojąc na gruncie realizmu politycznego. Obawiali się, że przegrana Korony z Rosją w toczącym się równoległym konflikcie doprowadzi do podporządkowania Litwy carowi i utraty wolności i tożsamości. Ponad 370 lat później nie potrzebujemy literackich metafor, by dostrzec zagrożenie ze strony Rosji. Z Litwą, Szwecją i resztą Europy łączą nas sojusze oparte na Unii Europejskiej i NATO. Również Niemcy pokazały w ostatnich latach, że mogą być istotnym elementem wsparcia w obliczu rosyjskiej agresji.

Tym bardziej wobec słabnącej i niepewnej pomocy USA, Europa i Polska muszą zbudować własny pancierz przed rosyjskim zagrożeniem. Temu służy europejski program SAFE, zakładający wspólne finansowanie i rozwój zdolności obronnych. Stojąc na gruncie realizmu politycznego, nie mamy wyjścia i powinniśmy z niego skorzystać, bo zagrożenie jest realne.

Ci politycy, którzy doszukują się w nim niemieckiego zagrożenia, odwołują się do irracjonalnych fobii i przebrzmiałych resentymentów. Oby historii nie oceniła ich tak, jak przez lata oceniano Radziwiłła. ©

POGODA W BYDGOSZCZY

Piątek

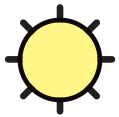
13°C
2°C



Wiatr
płd.-zach., 18 km/h
Ciśnienie
1021 hPa
Biomet
korzystny

Sobota

15°C
4°C



Niedziela

12°C
4°C



Imieniny obchodzą dziś Anastazja, Bazyl, Gabriel i Orfeusz

KRONIKA BYDGOSKA

My tu sobie marudzimy, a tam świat płonie

Ewa Czarnowska-Woźniak
ewa.czarnowska-wozniak@polskapress.pl

Cztery lata temu byliśmy bardzo szlachetni w pomocy Ukraińcom. I już o tym w większości zapomnieliśmy.

Nie jest przypadkiem, że czwarta rocznica wybuchu wojny w Ukrainie wiąże się ze... zniczem olimpijskim. Cztery lata temu, przed sportowym świętem w Pekinie, sporo mówiono się o groźbie rosyjskiego ataku na Kijów, wiążąc jego datę z końcem igrzysk w Chinach - tak, by sojusznik miał spokój do końca również propagandowego przedsięwzięcia. Cały świat miał jednak jeszcze nadzieję, że może to tylko spekulacje. Okazało się w najtragiczniejszy sposób, że to nie były mrzonki. Gdy więc w ostatnią niedzielę oszałamiającym spektaklem w Weronie domknęto włoskie zimowe igrzyska, nie sposób nie było kierować myśli do tego, że ten sam czas oznacza czwartą rocznicę wybuchu wojny za naszą wschodnią granicą. Agresja Rosji na naszych sąsiadów, trwająca już niemal tak samo długo jak pierwsza wojna światowa, siłą rzeczy zaangażowała nas na niespotykaną wcześniej skalę. Ciągłe uważam, że za jakość i ilość naszej pomocy, do której rzuciliśmy się wtedy w sposób spon-



Rzesza wolontariuszy i darczyńców w BCTWw Mysłęcinku. 10.03.2022

taniczny, lecz przede wszystkim skuteczny, to naród polski powinien otrzymać Pokojową Nagrodę Nobla.

Wróciłam „rocznicowo” do swoich tekstów z tamtego czasu. Tych felietonów i komentarzy, pisanych obok naszych relacji z konkretnych akcji pomocowych, wszelkich informacji z tego, jak w Bydgoszczy wspieraliśmy Ukrainę. Zatrzymałam się na kilku najbardziej emocjonalnych obrazkach. Spłoszone, zagubione matki, które wozili tramwajem swoje przerażone dzieci do obcego sobie przedszkola czy szkoły. Zawstydzona kobieta w kolejkach po pomoc dla swoich rodzin, które musiały odwieźć na kołku poczucie wła-

snej godności. I te same Ukrainki, które w podziękowaniu za nią posprzątały na wiosnę 2022 roku myślicyński park, przenosząc do nas swój zwyczajowy „subotnik”.

Po tych czterech latach ukraińscy uchodźcy wrosli już na stałe w nasz krajobraz. Do tego stopnia, że 5 marca, już w przyszłym tygodniu, w życie wchodzi nowe przepisy, ostrzejsze regulacje dotyczące legalnego pobytu (pracy, ochrony zdrowia, edukacji) Ukraińców w Polsce. Ogólnie rzecz biorąc - kończymy z doraźną specystawą, racjonalizujemy zasady. Tak to wszystko już długo trwa... Sukcesywnie budując też niechęć i opór wielu ludzi i środowisk przeciwko przybywającym zza wschodniej granicy, często podszyte manipulacją i niejasnym (?) interesem. Hm... Najbardziej gburowaty i nieogarnięty kierowca, jaki wiozł mnie w Bydgoszczy taksówką na aplikację, był Ukraińcem. Najsympatyczniejszy dostawca pizzy w Fordonie - też. Jaki z tego wniosek? Że nie narodo-

Najbardziej gburowaty kierowca taksówki na aplikację był Ukraińcem. Najsympatyczniejszy dostawca pizzy - też.

wość prowadzi samochód ani przywozi jedzenie. Nie paszport dopuszcza się popełniania przestępstw, choć coraz częściej w statystykach zatrzymanych za ich popełnienie na terenie naszego kraju odnotowuje się Ukraińców. My, Polacy, zalewający w czasach komuny Niemcy, Austrię, Francję - powinniśmy o tym pamiętać.

Ukraińcy, naród uciekający przed wojną z różnych powodów, ale też niezłomnie broniący swojego kraju i życia przed najeźdźcą. A ja piszę te swoje Kroniki bydgoskie... O irytujących dziurach w jezdniach. O kłopotach w polskiej ochronie zdrowia. Ja piszę i ludzie piszą. Czasem się zgadzają, czasem szyczą. I takie mamy problemy, gdy rzeczywistością Ukraińców od czterech lat są zgliszcza miast i bomby fruujące nad głowami ich i ich dzieci. Jeszcze potrafimy zdobyć się na jakiś ludzki zryw - jak wtedy, gdy przy historycznym mrozie w Ukrainie, braku energii elektrycznej i ogrzewania rzuciliśmy się (obok wsparcia Kościoła i samorządów) do zbiórki na generatory prądu. Jak teraz, gdy bydgoski samorząd przekazuje donację naszym ukraińskim miastom partnerskim. Niestety, na co dzień nasze wyobraźnia i pamięć już kuleją. A tragedia Ukrainy zdaje się nie mieć de-
adline'u... ©

W SOBOTĘ Z „EXPRESSEM”



Jerzy Turek. Miał składać samochody przez całe życie. Gdy jako trener Jarząbek śpiewał swoje słynne „Łubu dubu”, przeżywał najgorszy czas w życiu prywatnym. Ledwo trzy lata wcześniej zmarł jego syn

Paweł. Aktor nigdy już nie podniósł się po tych wydarzeniach. Najzabawniejsze kreacje Jerzy Turek stworzył w latach 80. i później, gdy żył z traumą po śmierci syna. Gdy brat Pawła, Piotr, doczekał się córki, wnuczka Ola stała się oczkiem w głowie zatroskanych dziadków.

Ponadto:

- Na marzenia nigdy nie jest za późno. Czego pragną silwersi?
- Kraina Otwartych Okiennic to miejsce pełne uroku.
- Żyłki to sygnał, że układ żylny przestaje sobie radzić.



Julia Pietrucha, aktorka, wokalistka, odtwórczyni jednej z głównych ról, Janiny Lewandowskiej, w filmie „Pojedynek”

”

Aktorstwo to wychodzenie poza strefę komfortu. To coś, z czym muszę się zmierzyć. Chcę więc grać chyba po to, by trochę utrudnić sobie życie.

Puls, 22



RÓBMY WIĘCEJ DLA MŁODYCH MISTRZÓW

Dołącz do programu
sportowyorlen.pl

Mafia śmieciowa w Pakości. Zatrzymani byli burmistrz

Anna Grochowina
anna.grochowina@polskapress.pl

Funkcjonariusze CBŚP, pod nadzorem Prokuratury Krajowej, przeprowadzili kolejne skuteczne działania wymierzone w przestępczość środowiskową. W wyniku wielowątkowych śledztw dotyczących nielegalnego składowania odpadów niebezpiecznych zatrzymano łącznie 10 osób, w tym byłego burmistrza oraz prezesów spółki komunalnej.

Podejrzany przedstawiono zarzuty udziału w zorganizowanej grupie przestępczej oraz sprowadzenia zagrożenia dla życia i zdrowia wielu osób.

Pierwszy etap działań, zainicjowany jesienią ubiegłego roku, koncentrował się na terenie województwa podlaskiego. Funkcjonariusze CBŚP, działając na polecenie łódzkiego pionu PZ Prokuratury Krajowej, przeprowadzili szczegółowe oględziny byłej żwirowni w powiecie zambruskim.

Z ustaleń śledczych wynika, że teren ten został nabyty przez grupę przestępczą na tzw. „słupa”. Podczas prac z udziałem



FOT. CBŚP

Wśród zatrzymanych znaleźli się: były burmistrz jednej z gmin powiatu inowrocławskiego, pełniący nadzór nad gospodarką komunalną, dwaj prezesi gminnej spółki zarządzającej gospodarką odpadami oraz właścicielka nieruchomości, która udostępniła teren pod nielegalny proceder

łem biegłego, pod warstwą ziemi ujawniono: pojemniki z oznakowaniem „Materiał zakazny”, dziesiątki plastikowych beczek i baniaków z niezidentyfikowanymi substancjami, odpady komunalne oraz cmentarne.

W tej sprawie pod koniec stycznia zatrzymano 6 osób. Prokurator przedstawił im zarzuty dotyczące m.in. udziału w zorganizowanej grupie przestępczej, nielegalnego postępowania z odpadami o właściwościach

kancerogennych, mutagennych i zrączych. Działania te realnie zagrażały życiu i zdrowiu ludzkiemu oraz mogły spowodować zniszczenia w świecie roślinnym i zwierzęcym w znacznych rozmiarach.

Koszty utylizacji

Równolegle CBŚP uderzyło w grupę działającą na terenie powiatu inowrocławskiego. Funkcjonariusze zatrzymali 4 osoby podejrzane o stworzenie mechanizmu nielegalnego deponowa-

nia i przetwarzania odpadów na terenach gminnych.

Wśród zatrzymanych znaleźli się: były burmistrz jednej z gmin powiatu inowrocławskiego, pełniący nadzór nad gospodarką komunalną, dwaj prezesi gminnej spółki zarządzającej gospodarką odpadami oraz właścicielka nieruchomości, która udostępniła teren pod nielegalny proceder.

Śledztwo wykazało, że członkowie grupy stworzyli system ochrony przed organami ścigania. Podejrzani monitorowali ruch pojazdów Policji oraz Inspekcji Ochrony Środowiska (WIOS i GIOŚ). Co szczególnie bulwersujące, w sposób nieuprawniony wykorzystywano bazę CEPiK do weryfikacji numerów rejestracyjnych pojazdów mogących należeć do służb.

Nielegalne składowanie odpadów to nie tylko przestępstwo przeciwko środowisku, ale przede wszystkim uderzenie w fundamenty bezpieczeństwa państwa i obywateli.

Działania CBŚP w zakresie zwalczania przestępczości środowiskowej będą kontynuowane do pełnego rozliczenia osób zaangażowanych w ten proceder.

Władze samorządowe nie kryją oburzenia skalą nielegalnego proceduru, który przez lata rozwijał się na terenie gminy. Obecny burmistrz w mocnych słowach podsumowuje skutki działalności grupy przestępczej, której członkowie - w tym były burmistrz i prezesi spółki komunalnej - usłyszeli właśnie zarzuty.

Koszty utylizacji to 10 miliardów złotych

- Na składowisko w poprzedniej kadencji przywieziono ponad milion ton odpadów. Były one mieszane także z substancjami niebezpiecznymi. Gmina na tym przestępczym procederze straciła setki milionów złotych. W tym samym czasie osoby odpowiedzialne za ten proceder - według oficjalnych szacunków - zarobiły kilkadziesiąt milionów złotych - wylicza Michał Siemabab, burmistrz Pakości.

Jak podkreśla, problem składowiska nie zaczął się w poprzedniej kadencji, ale to właśnie wtedy jego skala osiągnęła rozmiary katastrofalne.

- A przecież to miejsce mogło zostać przekształcone w nowoczesną instalację przetwarzania odpadów. Giębni mogła służyć całemu powiatowi, generując przez dziesiątki lat znaczące

przychody dla naszej spółki komunalnej oraz naszej gminy. Ten potencjał został bezpowrotnie utracony w wyniku działań grup przestępczych - dodaje.

Obecny wóldar nie ma złudzeń co do tego, co czeka gminę w najbliższych latach. Koszty naprawy szkód są gigantyczne.

- Dziś realną odpowiedzialną drogą jest rekultywacja składowiska - jego odizolowanie od środowiska zewnętrznego i zabezpieczenie. Koszty ewentualnej utylizacji termicznej tak ogromnej ilości odpadów przekraczają 10 miliardów złotych. To kwoty, które wykraczają poza możliwości budżetowe państwa - mówi.

Mimo to burmistrz zapowiada, że nie spocznie, dopóki sprawa nie znajdzie swojego finału.

- Sprawa trwa. Nie ma jeszcze jej ostatecznego finału. Ale fakt, że kolejne osoby słyszą zarzuty prokuratorskie, daje nadzieję, że w perspektywie czasu ta historia znajdzie swój sprawiedliwy koniec. Jako burmistrz zapewniam: nie odpuszczę tej sprawy. To kwestia bezpieczeństwa mieszkańców, odpowiedzialności za środowisko i elementarnej uczciwości wobec naszej wspólnoty - deklaruje. ©

265 zarzutów i widmo więzienia. Oskarżonych trzech diagnostów

Karolina Rokitnicka
karolina.rokitnicka@polskapress.pl

Trzech diagnostów pracujących dla firmy z Inowrocławia w mobilnym punkcie kontroli, usłyszało 265 zarzutów. Są one związane z poświadczaniem nieprawdy w dokumentacji.

W woj. kujawsko-pomorskim to już kolejna sprawa, w której policjanci ujawniają nieuczciwość diagnostów. Tym razem dotyczy sprzętu rolniczego, a dokładniej opryskiwaczy. Warto wiedzieć, że podobnie jak samochody czy motocykle, ten sprzęt musi systematycznie przechodzić przeglądy techniczne w uprawnionych Stacjach Kontroli Opryskiwaczy (SKO). Chodzi m.in. o sprawdzanie ich efektywności, a tym samym bezpieczeństwo upraw, ochronę środowiska i zdrowia konsumentów.

Ostatnie postępowanie bydgoskich policjantów dotyczyło trzech diagnostów z firmy z powiatu inowrocławskiego, która prowadzi mobilny punkt SKO. Ustalono, że przedsiębiorca z powiatu inowrocławskiego wraz ze swoimi pracownikami



FOT. WKP

Trzech diagnostów w 265 przypadkach poświadczyło nieprawdę w protokołach kontroli technicznej

miał wykonywać kontrole bezpośrednio u rolników, ale poświadczali nieprawdę w dokumentach.

- Zebrany obszerny materiał dowodowy, przesłuchania ponad 320 świadków oraz szczegółowa analiza zebranej dokumentacji wykazały, że w latach 2022-2024 diagności w 265 przypadkach poświadczali nieprawdę w protokołach kontroli technicznej. Wpisywali w nich, że urządzenia zostały przebadane zgodnie z przepisami, podczas gdy w większości przypadków maszyny były jedynie oglądane lub poddawane

podstawowym czynnościom bez użycia specjalistycznych przyrządów pomiarowych - informuje nadkom. Przemysław Słomski z KWP w Bydgoszczy.

Takie badanie nie potwierdziło rzeczywistego stanu technicznego urządzenia. Jednak za usługę pobierano opłaty. Diagności łącznie zainkasowali około 50 tys. zł. Na podstawie zgromadzonego przez funkcjonariuszy materiału dowodowego, prokurator przedstawił trzem diagnostom łącznie 265 zarzutów. Przyznali się do nich. Grozi im do 8 lat pozbawienia wolności. ©

Katolickie szybkie randki. Kalendarz spotkań singli zaplanowany do kwietnia

Jarosław Więclawski
jaroslaw.wieclawski@polskapress.pl

W Bydgoszczy będą katolickie szybkie randki. Spotkania singli w mieście będą organizowane regularnie. W kalendarzu są wydarzenia tematyczne i dla osób w różnym wieku.

Svatka.pl to ogólnopolski serwis organizujący szybkie randki w różnych miastach w Polsce. W czwartek po raz pierwszy spotkanie odbędzie się w Bydgoszczy. Aby wziąć udział w wydarzeniu, najpierw trzeba zapisać się na stronie.

- W dobie zmęczenia aplikacjami randkowymi i powierzchownymi kontaktami online, coraz więcej osób szuka autentycznych rozmów i prawych emocji - właśnie offline! Ostatnio obchodzony był Dzień Singla, co dodatkowo zwróciło uwagę na temat samotności i potrzebę budowania relacji w realnym świecie. Widzimy, że szybkie randki przeżywają obecnie prawdziwy renesans. Stają się nie tylko sposobem na poznanie drugiej osoby, ale też ciekawym doświadczeniem - informują organizatorzy.

Pierwsze spotkanie odbędzie się w Younger Bar przy ul. Zaułek 12 w czwartek (26 lutego) o godzinie 18. Jak czytamy w opisie, to okazja, aby scementować relacje między ludźmi o wspólnych wartościach. - Spotkania Chrześcijańskich Singli to świetna okazja do poznania nowych osób o zbliżonych poglądach na życie, wiarę i wartości - zapraszają.

Zainteresowanie wydarzeniem było spore. W randkach weźmie udział 9 pań i 9 panów. Na liście rezerwowej jest aż 24 mężczyzn, co jest zaskakujące, bo zwykle w katolickich randkach chce wziąć udział więcej kobiet. Organizatorom zależy na tym, aby liczba uczestników była równa.

- Formuła katolickich randek jest tak sama, ale uczestnicy mają pewność, że druga osoba jest wierząca i praktykująca. Chcieliśmy stworzyć wydarzenie z myślą o singlach, którzy ce-

nią sobie szczerść, szacunek, dobre relacje i wiarę jako główne wartości w życiu - mówi Izabela Cieszyńska, ogólnopolski koordynator ze Svatki.pl.

- Panie siedzą przy stolikach, panowie się dosiadają. Co 6-7 minut koordynatorka dzwoni dzwonkiem i panowie się przesiadają. Na początku spotkania każdy otrzymuje formularz, w którym zaznacza, czy chciałby kontynuować znajomość z daną osobą. Jeśli tak, to uczestnicy otrzymują do siebie namiary i dalej sami się z sobą kontaktują, w co już nie ingerujemy - wyjaśnia Izabela Cieszyńska.

Na kolejne wydarzenie (Younger Bar, 12 marca) zapisało się do tej pory 20 osób, a zapisy rwają. W kolejnych randkach będą mogli wziąć udział osoby z wyższym wykształceniem (grupa wiekowa 28-40).

22 marca w spotkaniach będą mogły wziąć udział osoby w wieku 38-49 i 23-35. Na razie nie podano lokalizacji spotkań. Organizatorzy nie wykluczają, że pojawią się w nowych miejscach. Chrześcijańskie szybkie randki i dla osób z wyższym wykształceniem powrócą w kwietniu. ©

Zainteresowanie wydarzeniem było spore. W randkach weźmie udział 9 pań i 9 panów. Na liście rezerwowej jest aż 24 mężczyzn.

Zachowując ciepło
domowego ogniska,

markę PGNiG
zastąpiła marka ORLEN

Informujemy, że nastąpiła zmiana nazwy spółki z dotychczasowej
PGNiG Obrót Detaliczny sp. z o.o. na myORLEN sp. z o.o.
Więcej na myorlen.pl



Bydgoszcz

Prof. Jan Styczyński ze Złotym Medalem Zasłużony dla Nauki Polskiej „Sapientia et Veritas”

Małgorzata Pieczyńska
malgorzata.pieczyńska@polskapress.pl

Ceniony bydgoski lekarz prof. dr hab. n. med. Jan Styczyński związany z CM UMK i Szpitalem im. Jurasza został uhonorowany Złotym Medalem Zasłużony dla Nauki Polskiej „Sapientia et Veritas”.

Okazją do wręczenia odznaczeń państwowych było obchodzone niedawno na UMK Święto Uniwersytetu. Wśród wyróżnionych nie zabrakło także naukowców Collegium Medicum UMK w Bydgoszczy.

Decyzją Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego Złotym Medalem Zasłużony dla Nauki Polskiej „Sapientia et Veritas” nagrodzono prof. Jana Styczyńskiego.

Prof. Jan Styczyński jest kierownikiem Katedry i Kliniki Pediatrii, Hematologii, Onkologii, Immunologii i Transplantologii w Collegium Medicum UMK i Szpitalu Uniwersyteckim nr 1 im. Jurasza w Bydgoszczy. To także konsultant krajowy w dziedzinie onkologii i hematologii dziecięcej. Medal ceniowemu lekarzowi wręczył Michał Koniuch, wicewojewoda kujawsko-pomorski, w asyście

władz Uniwersytetu Mikołaja Kopernika.

Medal Zasłużony dla Nauki Polskiej „Sapientia et Veritas” jest przyznawany za szczególne zasługi dla szkolnictwa wyższego i nauki, za wybitne osiągnięcia naukowe, dydaktyczne oraz organizacyjne. Posiada trzy stopnie (złoty, srebrny, brązowy). Nazwa pochodzi z łaciny i oznacza „Mądrość i Prawda”. Medal ma na celu wyróżnienie osób znacząco wspierających rozwój nauki i szkolnictwa i jest wyrazem uznania dla osób, które przyczyniają się do poszukiwania prawdy i rozwijania mądrości w polskiej nauce.

Ponadto w czasie uroczystości odznaczono także trzy inne osoby z Collegium Medicum UMK. Medal Złoty za Długoletnią Służbę otrzymała dr hab. Sylwia Kołtan, prof. UMK z Wydziału Lekarskiego. Medal Srebrny za Długoletnią Służbę dostała mgr inż. Agnieszka Majewska z Wydziału Nauk o Zdrowiu, z kolei Medal Brązowy za Długoletnią Służbę - mgr Justyna Szczecińska z Wydziału Nauk o Zdrowiu.

Poza tym 14 osób z Collegium Medicum UMK odebrało Medale Komisji Edukacji Narodowej. ©©



Złoty Medal Zasłużony dla Nauki Polskiej „Sapientia et Veritas” prof. Janowi Styczyńskiemu wręczył Michał Koniuch, wicewojewoda kujawsko-pomorski, w asyście władz Uniwersytetu Mikołaja Kopernika

Mniej wypadków i poszkodowanych

Jarosław Więclawski
jaroslaw.wieclawski@polskapress.pl

Policyjne dane wskazują, że w Bydgoszczy spada liczba wypadków. W 2015 r. odnotowano ich 438, a w ubiegłym roku o ponad połowę mniej - 164. Maleje również liczba poszkodowanych. Bydgoski ratusz zapowiada kolejne działania, które mają poprawić bezpieczeństwo wszystkich uczestników ruchu drogowego.

Jak statystyki z ubiegłego roku wypadają na tle poprzednich lat? Liczba zdarzeń drogowych w 2015 roku wyniosła 4158, w 2020 r. wzrosła do 5267, a w 2025 r. było ich 4692. Zdecydowanie przez ostatnią dekadę spadła liczba wypadków - z 438 przed 10 laty, do 282 w 2020 r. i 164 w 2025 r. Cały czas maleje również liczba poszkodowanych. W 2015 r. były to 493 osoby, pięć lat później 284, a w 2025 r. - 197.

- Na ten wynik składa się kilka czynników. Jednym z nich jest też nasza konsekwentna praca nad infrastrukturą drogową - mówi Mirosław Kozłowicz, zastępca prezydenta Bydgoszczy. Jak dodaje, co roku miasto realizuje inwestycje, w których priorytetem jest bezpieczeństwo. Wymienia budowę dróg rowerowych, chodniki czy bezpieczne skrzyżowania, ale i doświetlenie przejść, separatory pasów ruchu, wyniesione przejścia czy nowe sygnalizacje.

- Zmierzamy w kierunku wizji zero, czyli stworzenia takiej



W ubiegłym roku najwięcej kolizji i wypadków w Bydgoszczy odnotowano na ulicy Fordońskiej

infrastruktury, dzięki której w Bydgoszczy nie będziemy notować ofiar śmiertelnych wypadków drogowych. Ten cel ujęto też w strategii rozwoju miasta. Oznacza to jeszcze dużo pracy. Musimy przygotować i zrealizować kolejne inwestycje, które ograniczą ryzyko zdarzeń drogowych na wielu ulicach, gdzie notowana jest ich największa - uważa zastępca prezydenta Bydgoszczy.

Jak przekazuje ratusz, najwięcej zdarzeń drogowych w 2025 roku odnotowano na ulicach:

- Fordońskiej - 275 kolizji i 9 wypadków;
- Jagiellońskiej - 160 kolizji i 4 wypadki;
- Gdańskiej - 155 kolizji i 5 wypadków;
- Grunwaldzkiej - 142 kolizje i 7 wypadków;
- Wojska Polskiego - 137 kolizji i 6 wypadków;
- Nakielskiej - 100 kolizji i 7 wypadków.

Czarnymi punktami w policyjnych statystykach, gdzie do-

chodziło do wypadków są także ulice Akademicka, Andersa, Chodkiewicza, Focha, Kujawska, Ogińskiego, Pileckiego, Sułkowskiego, Skłodowskiej-Curie, Kamienna oraz Glinki.

- Od ponad 20 lat korzystamy z raportów o stanie bezpieczeństwa, to właśnie z nich wynikają lokalizacje o największej liczbie zdarzeń drogowych, tzw. lista rankingowa czarnych punktów. Prawie wszystkie te miejsca były i będą nadal przedmiotem inwestycji, związanych z poprawą bezpieczeństwa ruchu drogowego - mówi Wojciech Nalazek, dyrektor Zarządu Dróg Miejskich i Komunikacji Publicznej w Bydgoszczy.

Od ponad 20 lat korzystamy z raportów o stanie bezpieczeństwa, to właśnie z nich wynikają lokalizacje o największej liczbie zdarzeń.

Wymieniając najbliższe zadania wspomina m.in. dokończenie budowy drogi rowerowej na ul. Fordońskiej na osiedlu Siernieczek, powstanie nowych sygnalizacji świetlnych w ciągu ul. Akademickiej oraz Andersa, przygotowania do przebudowy skrzyżowania Fordońska/Brzechwy, nowe przystanki wiedeńskie na Gdańskiej, zakończenie budowy trasy rowerowej na Sułkowskiego, projektowanie zmian na rondzie Jagiellonów oraz odcinka Jagiellońskiej z przystankami przy ul. Łużyckiej.

- Na ul. Wojska Polskiego zlecimy budowę dróg rowerowych na Kapuściskach. Oczekujemy na wydanie zezwolenia na realizację inwestycji drogowej (ZRID) dla ul. Nakielskiej. Projektujemy nowe odcinki dróg dla rowerzystów w ciągu ulicy Skłodowskiej-Curie i Glinki - informuje Wojciech Nalazek.

Wpływ na poprawę bezpieczeństwa mają mieć również zmiany na drogach osiedlowych czy tworzenie nowych stref ruchu uspokojonego. Od 2018 w mieście działa zespół do działań na rzecz poprawy bezpieczeństwa ruchu drogowego, którego przewodniczącym jest zastępca prezydenta Bydgoszczy Mirosław Kozłowicz.

W składzie są przedstawiciele KMP, Straży Miejskiej, Centrum Zarządzania Kryzysowego, ZDMiKP oraz przedstawiciele środowiska pieszych, transportu publicznego i rowerzystów. ©©

Z Brdy w centrum Bydgoszczy wyłowiono ciało człowieka

W środę po południu w Brdy w Bydgoszczy wyłowiono ciało starszego mężczyzny. Policja ustala jego tożsamość.

Informacja o ciele człowieka dryfującym na Brdzie wpłynęła do Centrum Powiadomienia Ratunkowego w środę, 25 lutego, przed godziną 16.

Ciało starszego mężczyzny wyłowione zostało przy Wyspie Młyńskiej, między domkami na wodzie, niedaleko ulicy Tamka w Bydgoszczy.

Około godziny 17.00 na miejscu zdarzenia pracowali policjanci, widać było rozłożony parawan. O informację w sprawie tego zdarzenia poprosiliśmy Komendę Miejską Policji w Bydgoszczy.

- Czynności związane z ustaleniem tożsamości wyłowionego mężczyzny trochę trwają. Najprawdopodobniej jutro możemy mieć informację w tej sprawie - mówi sierż. sztab. Jakub Skrzypek z Zespołu Komunikacji Społecznej KMP w Bydgoszczy. ©© DN



Ciało zostało wyłowione przy wyspie Młyńskiej, między domkami na wodzie, niedaleko ulicy Tamka w Bydgoszczy

REKLAMA

0011476747

Sprawdź co się dzieje w regionie!
Odwiedź stronę www.kujawsko-pomorskie.pl
oraz profile społecznościowe województwa

#LubieTuByc

Samorząd Województwa
Kujawsko-Pomorskiego



Urząd Marszałkowski
Województwa
Kujawsko-Pomorskiego
w Toruniu

Pierwszy taki pokaz dronów i systemów antydronowych

Wojciech Mąka
wojciech.maka@polskapress.pl

Na poligonie w Zielonce odbywają się pokazy dronów i systemów antydronowych. Wzięły w nich udział bydgoskie WZL, które od kilku lat budują i testują drony.

Wojskowe Zakłady Lotnicze Nr 2 wzięły udział w Otwartych Testach Bezzałogowych Systemów Uzbrojenia, podczas których zaprezentowano w praktyce działanie nowoczesnych dronów, systemów antydronowych oraz rozwiązań autonomicznych - kluczowych dla bezpieczeństwa współczesnego pola walki.

Po raz pierwszy przedstawiono fragment bojowego użycia systemu antydronowego SAN, w tym system przeciwlotniczy SA35 z efekтором 35 mm oraz system WLKM na podwoziu LEGWAN Long z efekтором 12,7 mm, znany jako „Potwór z Tamowa”.

Swoje produkty i rozwiązania zaprezentowały spółki Grupy PGZ: m.in. Radwar i byd-



Pokaz dronów na poligonie w Zielonce pod Warszawą

goska Belma oraz Huta Stalowa Wola S.A. oraz instytuty badawcze: Instytut Techniczny Wojsk Lotniczych, Wojskowy Instytut Techniczny Uzbrojenia, Wojskowy Instytut Techniki Pancernej i Samochodowej oraz Przemysłowy Instytut Automatyki i Pomiarów - Sieć Badawcza Łukasiewicz (PIAP).

Celem testów było zaprezentowanie powietrznych i lądowych bezzałogowych systemów uderzeniowych, rozpoznawczych, ewakuacyjnych i transportowych, rozwijanych przez polski przemysł obronny oraz krajowe instytuty badawcze.

Jedną z gwiazd pokazu był system antydronowy nazy-

wany popularnie „Potworem z Tamowa”, który w ostatnich miesiącach robi karierę w mediach. I to nie tylko w polskich, bo o naszej broni, która objawiła się szerszej publiczności na targach MSPO 2024, pisały już także media w Ukrainie, Rosji czy Rumunii.

„Potwór z Tamowa” to czterolufowy karabin maszynowy typu Gatling kal. 12,7 mm wyprodukowany przez Zakłady Mechaniczne Tarnów. Broń wystrzeliwuje do 3600 pocisków na minutę. Ma zasięg 2,2 km i jest przeznaczona do zwalczania celów naziemnych oraz powietrznych.

WZL Nr 2 zaprezentowały w powietrzu bezzałogowe statki powietrzne Szeszeń (we współpracy z ITWL), Dragon-Fly oraz BSP Wizjer. W pokazie statycznym przedstawiono BSP Orlik, Młot i JET 2.

W wydarzeniu uczestniczyli prezes Rady Ministrów Donald Tusk, wicepremier i minister obrony narodowej Władysław Kosiniak-Kamysz oraz sekretarz stanu w MON Cezary Tomczyk. ©©

Bydgoszcz prześle wsparcie miastom partnerskim z Ukrainy

Jarosław Więclawski
jaroslaw.wieclawski@polskapress.pl

Bydgoszcz prześle wsparcie finansowe miastom partnerskim z Ukrainy. Czerkasy i Krzemieńczuk otrzymają po 100 tysięcy złotych.

Ostatnia wyjątkowo mroźna zima sprawiła, że w związku z atakami, które Federacja Rosyjska prowadzi cały czas intensywnie na Ukrainie, wiele miejscowości, wielu obywateli zostaje bez prądu albo z ograniczoną dostępnością energii elektrycznej - wyjaśniał Łukasz Krupa, zastępca prezydenta Bydgoszczy podczas sesji Rady Miasta. Dodał, że wsparcie płynnie obecnie z całej Polski. - Pan prezydent uznał, że najlepszą formą będzie kontynuowanie pomocy naszym miastom partnerskim. Taką samą uchwałę przyjęło państwo w 2022 r. Krzemieńczuk w ramach rozliczenia dotacji wykazał zakup sprzętu gaśniczego i wyposażenie wozów strażackich, a miasto Czerkasy zakupiło sprzęt medyczny dla oddziału ratunkowego szpitala miejskiego - przekazał Łukasz Krupa.

„Udzielenie pomocy finansowej miastom partnerskim

Bydgoszczy w Ukrainie: Krzemieńczukowi i Czerkasom z przeznaczeniem na odtworzenie infrastruktury lokalnej i zakup sprzętu oraz wyposażenia niezbędnego, w celu zapewnienia funkcjonowania tych miast i zapewnienia podstawowych potrzeb ich obywateli w warunkach trwającego konfliktu zbrojnego na terytorium Ukrainy pozwoli na częściowe złagodzenie skutków działań wojennych dla ich mieszkańców poprzez wsparcie funkcjonowania ich samorządów w warunkach wojennych” - czytamy w uzasadnieniu projektu uchwały.

- Czy budżet miasta jest od prowadzenia polityki zagranicznej? W moim mniemaniu nie. W momencie, gdy mamy zgłoszenia od mieszkańców o to, że jest wysoki podatek od nieruchomości, o wysokie koszty wody, którzy domagają się, abyśmy troszeczkę ich odciążyli w kwestiach podatkowych, uważam, że niezasadne jest przekazywanie pieniędzy dla naszych miast partnerskich - stwierdził Paweł Sieg z Bydgoskiej Prawicy.

Za przyjęciem uchwały głosowało 22 radnych. Przeciwnym był Paweł Sieg, a od głosu wstrzymał się Jędrzej Gralik. ©©

REKLAMA

0011483667

ORLEN

Energia jutra zaczyna się dziś

RÓBMY Z ENERGIA

Robimy energię nie tylko z wiatru. ORLEN to znacznie więcej - to gaz, fotowoltaika, poszukiwanie i wydobycie złóż, stacje paliw oraz sponsor kultury i sportu.

Ponad milion gospodarstw domowych będzie zasilanych energią wiatrową z morza w 2026 roku. Szczegóły na energijutra.orken.pl.

W kolejce po mandat była na 4. Nowa bydgoska radna w sejmiku województwa

Adam Willma
adam.willma@polskapress.pl

Sejmik województwa ma nową radną. Podczas XXI sesji ślubowanie złożyła Katarzyna Stranz-Kaja z Koalicji Obywatelskiej.

Nowa radna mandat objęła po prof. Jacku Woźnym, który zmarł 28 grudnia. 13 stycznia komisarz wyborczy w Bydgoszczy stwierdził wygaśnięcie jego mandatu.

Prof. Woźny nie spodziewał się, że akurat jemu przypadnie w udziale funkcja radnego. Stało się tak w wyniku zrzecze-

nia się mandatu przez Łukasza Krupę, który objął funkcję wiceprezydenta Bydgoszczy. Kandydatem, który zdobył drugą największą liczbę głosów poparcia był były wicemarszałek Edward Hartwich. On jednak również zrezygnował z udziału w radzie. W ten sposób funkcja radnego przypadła kolejnemu w kolejce - Jackowi Woźnemu. Niespodziewana śmierć profesora sprawiła, że radną została, startująca w wyborach bez cienia szansy na zwycięstwo.

Katarzyna Stranz-Kaja ma 48 lat i pochodzi z Bydgoszczy. W wyborach samorządowych w 2024 roku zdobyła 1 907 gło-

sów (16 głosów mniej niż Jacek Woźny).

Po ślubowaniu radna zadeklarowała udział w pracach trzech komisji: promocji i ochrony zdrowia, edukacji i nauki oraz pracy, pomocy społecznej i bezpieczeństwa.

Katarzyna Stranz-Kaja jest pracownikiem dydaktycznym Collegium Medicum UMK, na Wydziale Lekarskim w Katedrze Fizjologii Człowieka. Doświadczenie zdobywała także w placówkach ochrony zdrowia oraz w Narodowym Funduszu Zdrowia. W przeszłości prowadziła w Bydgoszczy Centrum Dziecka i Rodzica - miejsce łączące działania prozdrowotne, edukacyjne i integracyjne dla rodzin oraz seniorów.

Ukończyła studia podyplomowe z zakresu zarządzania dostępnością i posiada kwalifikacje mediatora. Jak podkreśla, stawia na dialog i porozumienie, a kwestie dostępności rozumie szeroko - nie tylko jako wsparcie dla osób z niepełnosprawnościami, ale również dla seniorów, rodziców z małymi dziećmi i osób w kryzysie zdrowotnym.

Katarzyna Stranz-Kaja była m.in. laureatką konkursu „Kobiety z pasją”. ©



FOT. ANDRZEJ GOŃSKI KPIUM

Po ślubowaniu radna zadeklarowała udział w pracach trzech komisji: promocji i ochrony zdrowia, edukacji i nauki oraz pracy, pomocy społecznej i bezpieczeństwa

Bocian Maciek wrócił do Łęgnowa i ogłosił wiosnę. Teraz czeka na Stefanię!

Małgorzata Pieczyńska
malgorzata.pieczynska@polskapress.pl

Wiosna w Bydgoszczy ma swoje imię - Maciek. Bocian, który od ponad trzech dekad wraca do gniazda w Łęgnowie, znów pojawił się na swoim ślupie. To już 33. sezon.

Nie trzeba prognoz ani kalendarza astronomicznego. Wystarczy jedno spojrzenie na gniazdo w Łęgnowie-Wsi. Bocian Maciek znów przyleciał do Bydgoszczy, a mieszkańcy nie mają wątpliwości - to znak, że zima przechodzi do historii.

Maciek od lat jest symbolem wiosny w Łęgnowie. Po raz pierwszy pojawił się w tym miejscu w 1993 roku, a od tamtej pory bociany - lub kolejne pokolenia spokrewnione z pierwotnym ptakiem - regularnie zajmują to samo gniazdo. Tegoroczny powrót Maćka oznacza już 33. sezon z rzędu, w którym mieszkańcy obserwują jego przylot jako zwiastun nadchodzącej wiosny.

- Zwracamy uwagę na porządek wokół gniazda i jego okolicy - drobne odpady, pety czy resztki jedzenia mogą być przez bociany i inne ptaki mylone z pożywieniem, a to stwarza dla nich realne zagrożenie - apeluje Renata Włazik, mieszkanka bydgoskiego Łęgnowa Wieś. Od lat aktywnie działa na rzecz ochrony środowiska i bezpieczeństwa ptaków w okolicy, a także prowadzi popularną grupę na Facebooku poświęconą problemom związanym ze skażeniem terenów po zakładach Zachem bomba ekologiczna Bydgoszczy

Potem czas na partnerkę

Maciek przylatuje zawsze jako pierwszy. Jego partnerka, nazwana przez mieszkańców Stefanią, zwykle dołącza po kilku tygodniach. Jeśli warunki będą sprzyjające, para już niedługo będzie wychowywać młode,



FOT. RENATA WŁAZIK

25 lutego 2026 r.: radość swoim powrotem sprawił mieszkańcom bydgoskiego Łęgnowa Wsi bocian Maciek

a gniazdo znów stanie się centrum lokalnej przyrodniczej atrakcji.

Zimują coraz bliżej

Coraz więcej bocianów nie odlatuje już tak daleko jak dawniej. Niektóre zimują w Turcji, na Bałkanach, a przy łagodnych zimach nawet w Polsce. Dlatego ich powroty obserwujemy coraz wcześniej - czasem już w styczniu lub lutym, jak w przypadku tegorocznego przylotu Maćka.

Bociany to drapieżne ptaki - żywią się owadami, rybami, płazami, gadami i małymi ssakami. Choć są monogamiczne w danym sezonie lęgowym, nie tworzą par na całe życie. Ich gniazda osiągają duże rozmiary i są rozbudowywane przez wiele lat. Samica składa zwykle cztery jaja, a młode wykluwają się po około 33-34 dniach.

Dla mieszkańców Bydgoszczy powrót Maćka to jasny sygnał: wiosna zbliża się wielkimi krokami.

Gdzie są nasze bociany?

Cała Polska śledziła powrót Krutka do Polski. To bocian monitorowany przez Mazurski Park Krajobrazowy dzięki nadajnikowi GPS. Wiadomo, że zimę spędził w Egipcie, leciał przez Izrael, Liban, Syrię, Turcję i Ru-

munie. W weekend od gniazda w Krutyni dzieliło go ponad 600 km, jednak wylądował ok. 70 wcześniej przy drodze, skąd został zabrany do ośrodka rehabilitacji bocianów.

Od ubiegłego roku śledzone są też bociany z Wdeckiego Parku Krajobrazowego: Mikołaj, Bogdan i Stefan. Czy wracają do Polski? Gdzie są teraz?

- Nasze bociany zostały zaobserwowane jako młodzież - odpowiada Daniel Siewert, dyrektor Wdeckiego Parku Krajobrazowego. - Wyleciały w pierwszym roku swojego życia w stronę Sudanu i Czadu, egzotyczne dla nas rejony, a ta egzotyka wiąże się też z częstym brakiem zasięgu.

- Bociany osiągają dojrzałość płciową mniej więcej w czwartym roku życia - wyjaśnia dyrektor. - To oznacza, że jeszcze przez najbliższe trzy lata będziemy czekać, aż wyruszą w naszą stronę, wleczą w zasięg i wtedy nadajnik przekaże nam ich kilkuletnią historię.

Przyrodnicy liczą, że nastąpi to wcześniej. - Czasami zdarza się, że młodzież, zmylona hormonami, podejmuje tak odważną wyprawę. Najwcześniej na wylot kręcą się tacy weterani, jak Krutek - dodaje Daniel Siewert. ©

REKLAMA

0011482752

ZMIANA LOKALIZACJI BIURA OBSŁUGI KLIENTA

Pr **ON**atura



od 2 marca 2026 r. Biuro Obsługi Klienta Spółki ProNatura będzie się mieścić przy ul. Bogdana Raczkowskiego 11 w Bydgoszczy



wejście

KONTAKT

☎ **52 522 22 88**

✉ **klient@pronatura.bydgoszcz.pl**

www.pronatura.bydgoszcz.pl

📱 MKUOProNatura 📷 pronatura_bydgoszcz

REKLAMA

0011482818

STAROSTA WĄGROWIECKI
GN.6821.15.2025.GN1

Wągrowiec, 18 lutego 2026 r.

OGŁOSZENIE

Na podstawie art. 113 ust. 5-7 oraz art. 114 ust. 3 i 4 ustawy z dnia 21 sierpnia 1997 r. o gospodarce nieruchomościami (j.t. Dz.U. z 2024 r., poz. 1145 ze zm.)

Starosta Wągrowiecki zawiadamia

o zamiarze wszczęcia postępowania wywłaszczeniowego w celu pozbawienia prawa własności udziału wynoszącego 15/32 w nieruchomości położonej w Wągrowcu, gmina Wągrowiec, oznaczonej ewidencyjnie obręb Wągrowiec miasto, arkusz mapy 14, działka nr 1255 o powierzchni 0,0484 ha, zapisanej w księdze wieczystej PO1B/00072268/1, której stan prawny jest nieuregulowany.

Jeśli w terminie 2 miesięcy od dnia niniejszego ogłoszenia, nie zgłoszą się osoby, którym przysługują prawa rzeczowe do opisanego nieruchomości, zostanie wszczęte postępowanie administracyjne w trybie art. 115 ustawy o gospodarce nieruchomościami, z pominięciem ww. osób, jako stron postępowania.

TOMASZ KRANC
STAROSTA WĄGROWIECKI

Bydgoski TELDAT i inne spółki zbrojeniowe proszą prezydenta o podpisanie ustawy o SAFE

Maciej Czerniak
maciej.czerniak@polskapress

Firmy zbrojeniowe, w tym TELDAT i PGZ, której częścią jest Nitro-Chem, apelują do Karola Nawrockiego o podpis pod ustawą o przyjęciu unijnego programu SAFE.

Opublikowany został apel największych firm zbrojeniowych w kraju, skierowany do Prezydenta RP o podpisanie ustawy o przyjęciu przez Polskę unijnego programu finansowania obronności SAFE.

W oświadczeniu, które zostało zamieszczone, m.in. na stronie internetowej spółki PGZ S.A., zaznaczono, że projekt tej pożyczki „obok kluczowego aspektu wzmocnienia bezpieczeństwa Rzeczypospolitej Polskiej, stanowi precedensową szansę na zwiększenie oraz przyspieszenie zdolności produkcyjnych całego krajowego przemysłu obronnego”.

W skład PGZ, czyli grupy zatrudniającej około 23 tys. pracowników, wchodzi m.in. bydgoski Nitro-Chem, główny dostawca

trotyle dla NATO, czy Wojskowe Zakłady Lotnicze nr 2 w Bydgoszczy. Warto wymienić również firmy takie jak Belma S.A., Wojskowe Zakłady Uzbrojenia S.A w Grudziądzu, czy TELDAT. Ta ostatnia z wymienionych spółek też widnieje pod zamieszczonym apelem. „Wdrożenie mechanizmu SAFE oznaczać będzie radykalne zwiększenie produkcji obronnej. To nie tylko wzrost mocy produkcyjnych w konkretnych firmach, ale także wpływ na całą, rozbudowaną sieć krajowych dostawców i podwykonawców” - czytamy w oświadczeniu. „Mechanizm SAFE to olbrzymia szansa dla polskiego przemysłu obronnego na nowe kontrakty, tak krajowe, jak i eksportowe. Już teraz widoczne jest w Europie rosnące zainteresowanie produktami polskiej zbrojeniówki. W tym zakresie polskie firmy zbrojeniowe chcą współpracować”.

O programie mówił też wojewoda kujawsko-pomorski Michał Szybel. Na wczorajszej konferencji prasowej odniósł się ponadto do dyskusji nad programem, jaka rozgorzała



FOT. ARKADIUSZ WOITASIEWICZ

Pieniądze z programu SAFE miałyby trafić, m.in. do bydgoskiego Nitro-Chemu

na odbywającej się dzień wcześniej sesji Rady Miasta Bydgoszczy.

- Chcę podziękować radnym Bydgoszczy, którzy przyjęli apel do prezydenta Karola Nawrockiego o podpis po ustawą wdrażającą program SAFE. To jest program, który służy, między innymi Bydgoszczy, województwu kujawsko-pomorskiemu. Zdumiał mnie wypowiedzi

radnych, że to nie jest problem Bydgoszczy, że nie powinni się tym w ogóle zajmować. A z drugiej strony domagają się listy projektów inwestycyjnych, bo rzekomo nie ma dowodów na to, że spółki w Bydgoszczy, czy w innej części województwa na tym programie skorzystają.

Chodzi, między innymi o radnego PiS Pawła Bokieję, który dopytywał, jakie znacze-

nie dla ewentualnego wdrożenia programu ma uchwała rady miasta i kwestionował zasadność zajmowania się sprawą podczas sesji. - Powinniśmy się zajmować drogami, chodnikami, kulturą, edukacją, a nie zamówieniami sprzętu wojskowego - mówił radny.

- Regularnie otrzymuję korespondencję z kancelarii tajnej, że ktoś w naszym kraju nie po-

winien przebywać, bo zbiera informacje o instytucjach i nie potrafi wyjaśnić, po co je zbiera - mówił Szybel. - Jeżeli osoba publiczna - a zawsze mówię, że od osób publicznych wymagamy więcej - nalega, by opublikować szczegółową listę, jakie konkretnie projekty będą realizowały dane jednostki w ramach programu SAFE, w tym przypadku to część radnych Bydgoszczy z prawicowej strony po prostu szkodziłaby państwu polskiemu. To jest działanie na szkodę państwa.

Odnosnie dofinansowania spółek zbrojeniowych, Michał Szybel nawiązał między innymi do wypowiedzi premiera Donalda Tuska, który w sierpniu ubiegłego roku mówił o około 1 mld zł mającym trafić bezpośrednio do spółki Nitro-Chem S.A. Chodziło o uruchomienie dodatkowych linii produkcyjnych. Z kolei w połowie lutego ponownie zaznaczył przed posiedzeniem rządu o kilkunastu miejscowościach w kraju, w tym o Bydgoszczy, gdzie mogłyby trafić pieniądze z SAFE. ©

MATERIAL INFORMACYJNY T-MOBILE

0011483764

Magenta AI rewolucjonizuje dostęp do sztucznej inteligencji. Pakiet narzędzi w jednej aplikacji od T-Mobile.

Trudno sobie dziś wyobrazić świat bez sztucznej inteligencji. Narzędzi wykorzystujących AI jest obecnie multum, a sieć zalewają generowane przy jej wykorzystaniu treści. Teraz do gry o użytkowników AI włącza się jeden z czołowych operatorów telekomunikacyjnych, T-Mobile. Czym jest Magenta AI?

Sztuczna inteligencja dla każdego

W czwartek, w Magenta Experience Center w Warszawie, mieliśmy możliwość zobaczyć i przetestować możliwości Magenta AI, nowy pakiet narzędzi sztucznej inteligencji, dostępnych bezpłatnie dla wszystkich użytkowników aplikacji „Mój T-Mobile”. Operator deklaruje, że chce w ten sposób „odczarować” AI i pokazać ją jako technologię prostą, bezpieczną i przydatną w codziennym życiu.

Podczas prezentacji Magenta AI przedstawiciele T-Mobile mocno akcentowali wątek demokratyzacji dostępu do sztucznej inteligencji. Firma powoływała się na dane

Deutsche Telekom, z których wynika, że Polacy najczęściej korzystają z AI do wyszukiwania informacji, nauki oraz edycji obrazów, przy czym wielu wciąż obawia się złożoności i kwestii bezpieczeństwa takich rozwiązań. Odpowiedzią ma być prosty w obsłudze, darmowy i zintegrowany z istniejącą aplikacją ekosystem trzech usług: ElevenLabs, Picsart i Perplexity Pro.

Maximiliano Bellasai, członek zarządu ds. B2C T-Mobile Polska, przekonywał, że innowacja „z natury jest inkluzywna” i nie powinna być zarezerwowana dla wąskiej grupy najbardziej technologicznie zaawansowanych użytkowników. Podkreślał, że Magenta AI ma pozwolić klientom „tu i teraz” przekonać się, jak AI może pomóc w pracy, nauce czy hobby – bez dodatkowych opłat i limitów. - *Chcemy budować zaufanie do AI i pokazywać, że nie musi ona być ani skomplikowana, ani droga* – mówił. - *Chcemy dać użytkownikom możliwość bezpiecznego testowania, uczenia się i korzystania z potencjału*



sztucznej inteligencji poprzez sprawdzone i zaufane narzędzia. *To dopiero początek, bo wierzymy, że AI powinno być dostępne dla każdego* – zapowiedział z kolei Rickard Damm, Senior Vice President of Consumer AI w Deutsche Telekom, który do uczestników spotkania przemawiał z ekranu... w języku polskim, prezentując możliwości sztucznej inteligencji.

Trzy narzędzia w jednej aplikacji

Generowanie naturalnie brzmiącego, ludzkiego głosu to też jeden z trzech filarów Magenta AI. Jest to możliwe dzięki integracji z ElevenLabs,

firmie specjalizującej się właśnie w syntezie i generowaniu mowy. W praktyce każdy użytkownik może tworzyć naturalnie brzmiące narracje audio – bez konieczności dostępu do studia nagraniowego czy specjalistycznego sprzętu.

Leander Zapheriu z ElevenLabs zwracał uwagę, że głos jest jednym z najbardziej naturalnych sposobów komunikacji i dzięki AI otwiera się możliwość wykorzystania go „na niespotykaną wcześniej skalę”. Współpraca z T-Mobile ma pozwolić na dostarczenie rozwiązań voice to milionom użytkowników w modelu, który firma określa jako „bezpieczny i etyczny”.

Drugim elementem pakietu jest Picsart – platforma do edycji zdjęć i wideo, która wykorzystuje AI, aby uprościć pracę nad materiałami wizualnymi. Podczas konferencji pokazywano m.in. jak Picsart radzi sobie z podmianą tła, usuwaniem niepożądanych elementów z drugiego planu i tworzeniem kreatywnych efektów. To narzędzie, które może przydać się zarówno aktywnym użytkownikom mediów społecznościowych, jak i sprzedającym na platformach aukcyjnych, którym zależy na atrakcyjnej wizualnej prezentacji produktów.

Dr Hrach Tamrazyan z Picsart podkreślał, że AI w kreatywności „nie zastępuje człowieka”, lecz daje mu większą kontrolę i swobodę tworzenia. Zwracał też uwagę, że rozwiązania rozwijane wspólnie z T-Mobile mają łączyć profesjonalne możliwości z prostą obsługą i dbałością o bezpieczeństwo użytkowników.

Trzecim filarem Magenta AI jest Perplexity Pro – narzędzie określane jako inteligentna wyszukiwarka, która

zamiast listy linków dostarcza konkretne odpowiedzi wraz ze źródłami. Perplexity było już wcześniej dostępne dla części klientów, a zainteresowanie tym rozwiązaniem zachęciło operatora do udostępnienia go szerszej grupie użytkowników.

Perplexity Pro ma służyć do nauki, pracy z tekstem i eksplorowania informacji w bardziej uporządkowany sposób, redukując „chaos informacyjny”, z którym mierzą się użytkownicy klasycznych wyszukiwarek. To właśnie transparentność (źródła odpowiedzi) i wiarygodność mają być głównymi przewagami tego komponentu Magenta AI.

Wszystkie te narzędzia dla klientów sieci są darmowe, nielimitowane, dostępne w aplikacji „Mój T-Mobile” i zaprojektowane tak, by były zrozumiałe także dla mniej zaawansowanych użytkowników. Operator przekonuje, że Magenta AI ma szansę stać się „zaufanym przewodnikiem” po świecie sztucznej inteligencji, co w gąszczu mnożących się narzędzi AI może mieć niebagatelne znaczenie.

„Mama się przestraszyła i powiedziała: lepiej do baletu”

Magda Jasińska
Zwierzenia przy muzyce

Profesor Piotr Nardelli, legendarny baletmistrz, pedagog i wieloletni współpracownik Maurice'a Bédarta, dla którego przygoda z baletem trwa całe życie.

Ktoś by mógł powiedzieć, że zawód tancerza jest piękny, bardzo wymagający, ale krótkotrwały. A Pan już teraz nie tańcząc, ale będąc pedagogiem z tym baletem kroczy przez życie.

Tak, dużo ludzi ma różnorodne hobby, a moim hobby jest balet, ponieważ zajmuje większą część mojego życia, nie tylko prywatnego i w jakiś sposób niewytłumaczalny jest jeszcze moją pasją.

Ta pasja trwa wiele lat. Jaki jest Pana przepis na sukces? Przecież Pan osiągnął wyjątkowo wiele.

Nie ma przepisu, to chyba zależy od tego, że w środku serca, duszy i ciała jest pewnego rodzaju pasja, a drugą sprawą to jest też chyba łut szczęścia. Ta pasja, to pragnienie od dzieciństwa, najpierw wykonywania tańca, a później uczenia innych,



FOT. SIMONA SKREBUTENATE

Zwierzenia Piotra Nardellego na antenie Radia PiK w piątek o godzinie 20.05

czyli wspólnie razem i pasja i pragnienie usatysfakcjonowania siebie jeszcze przy odrobinię szczęścia daje możliwość kontynuowania tego latami.

No to trzeba mieć to coś, być może nawet niezdefiniowane to coś, żeby osiągnąć aż tyle. Według mnie, ja nie mam tego czegoś, ale po prostu tak się stało.

Najpierw była szkoła baletowa, potem był zespół baletowy Teatru Wielkiego w Warszawie

i potem wyjechał Pan z kraju. To były lata, gdzie łatwo było wyjechać z kraju?

Nie było łatwo. To znaczy przede wszystkim do szkoły baletowej poszedłem trochę spóźniony, ponieważ nie wiedziałem zupełnie, co to jest taniec, ale byłem nieznośnym dzieckiem. Teraz to nazywa się ADHD, a wtedy nikt nie słyszał o tej przypadłości. Matka powiedziała: coś trzeba z nim zrobić. Wujek przyjechał i powiedział: może do szkoły cyrkowej. Mama się przestraszyła i powiedziała: może lepiej do baletu. I mój ojciec znał takiego słynnego dziennikarza Jerzego Waldorfa, który znał z kolei bardzo dobrze dyrektora szkoły baletowej. Był to słynny Leon Wójcikowski, który obejrzał mnie i tak się znalazłem w szkole baletowej. Chyba od samego początku polubiłem taniec, którego zupełnie nie znałem. Uspokoiłem się w domu, natomiast w szkole byłem nieznośny. Później był bardzo trudny okres, bo po dyplomie, na którym byli również dyrektorzy, z różnych teatrów, nawet zagranicznych, między innymi z Berlina i pan asystent dyrektora w Komische Oper, zaproponował mi pracę. Mia-

łem już kontrakt do Berlina, ale był to taki okres, kiedy było potrzeba tancerzy w Teatrze Wielkim. Wtedy nie było tej ekipy międzynarodowej, tańczyli sami Polacy. Przykro mi powiedzieć, ale wtedy dyrektorem był pan Jasiński i ten pan dyrektor powiedział, że muszę wstąpić do zespołu Teatru Wielkiego i muszę odpracować szkołę baletową, bo inaczej pójdę do wojska. Zaakceptowałem oczywiście Teatr Wielki. Moim marzeniem było zostać reżyserem teatralnym i myślałem, że będę mógł rozpocząć już jakąś pracę teatralną, ale okazało się, że wtedy w Polsce nie można było pójść na reżysериę od razu. Musiałbym pójść do szkoły aktorskiej, skończyć wydział aktorski, żeby zostać reżyserem. Ale wybrałem Teatr Wielki, tam jakoś mi się poszczęściło, bo miałem świetnych pedagogów i głównego choreografa Gruzina, który troszeczkę we mnie wierzył, bo ja sam w siebie nie wierzyłem. Zaczęli mnie obsadzać w różnych rolach i wtedy nastąpił jakiś przełom w Polsce. Ten przełom nastąpił razem z nominacją Gierka. To był rok siedemdziesiąty pierwszy o ile pamiętam, po tych wszystkich rozruchach,

Gomułka odszedł od władzy i Gierek, żeby się podobać społeczeństwu pozwalał na wydawanie wiz, paszportów. Ja byłem nieświadomy zupełnie, ale miałem dwóch przyjaciół aktorów. Mogę wymienić ich nazwiska: to był Mieczysław Gajda i Jerzy Nasierowski i oni powiedzieli: Piotr, nie chciałbyś zrobić takiej przejażdżki po Europie? Choć oczywiście to były ciężkie czasy, bo trzeba było wizy, wizy tranzytowe i tak dalej, to Mieczysław Gajda bardzo dobrze znał się z kardynałem Wyszyńskim i kardynał Wyszyński jakoś zainteresował w Konsulacie hiszpańskim, a wtedy rządził Franco. Więc nie wbili nam pieczętek do paszportu, ale mieliśmy takie specjalne wizy. Jadąc do Hiszpanii, objechaliśmy pół Europy, tzn. Niemcy, Belgię, Francję, Hiszpanię i wracając na próby do Teatru Wielkiego zatrzymaliśmy się w Marsylii, bo też był ze mną Andrzej Ziemiński, znakomity tancerz. W tej Marsylii sekretarz dyrektora spytał, „czy wy jesteście tancerzami, bo my potrzebujemy właśnie dwójki tancerzy. Nie chcielibyście zostać?” Wziął nas na salę i zrobiliśmy tam parę ćwiczeń. Powiedział, że je-

steśmy znakomici, w co sam nie wierzyłem i w ten sposób nagle rozpocząłem pracę w Operze w Marsylii, we Francji. Po paru miesiącach powstał zespół baletowy, który się nazywał Balety Marsylskie, pod dyrekcją drugiego słynnego choreografa francuskiego Rolanda Petit. Także Andrzej Ziemiński, ja, Andrzej Grzegorski i jeszcze taka nasza znajoma Helena Strzelnicka, byliśmy czwórką Polaków, którzy brali udział w stworzeniu tego zespołu

Wyjechał Pan legalnie, czy trochę nielegalnie.

- Chciałem legalnie. Mój tata, Zdzisław Nardelli był dyrektorem Teatru Polskiego Radia i nigdy nie chciałem spowodować jakiegokolwiek problemu mojemu ojcu. W związku z tym legalnie podpisałem kontrakt w Marsylii, a i wystąpiłem do Teatru Wielkiego razem z Andrzejem Ziemińskim o tak zwany roczny urlop bezpłatny. Ten urlop bezpłatny, pani dyrektor Maria Krzyszkowska nie podpisała i stwierdziła: „mowy nie ma”, że jesteśmy potrzebni w Teatrze Wielkim. Może to była ta nielegalność, więc ojciec poradził mi, żebyśmy przystąpili do PAGARTU. (...)

REKLAMA

0011485064

Najlepszym sposobem, aby w ogrodzie nasz kot był bezpieczny podczas zabaw, jest zbudowanie specjalnie do tego celu przystosowanej woliery przydomowej, wolnostojącej lub zabezpieczenie całego ogrodu.

SIATKIDLA KOTÓW.PL
LIDER W DZIEDZINIE ZABEZPIECZEŃ DLA KOTÓW



siatkidlakotow.pl to profesjonalny montaż woliery ogrodowych, tarasowych, oraz zabezpieczeń na balkonach i oknach. Odpowiednio przygotowana przestrzeń sprawdzi się idealnie jako wybieg dla spragnionych świeżego powietrza czworonogów.

TOP PROTECT

☎ 533 995 970 ☎ 664 131 617

✉ biuro@siatkidlakotow.pl

🌐 siatkidlakotow.pl



Realizujemy
zlecenia
na terenie
całej
POLSKI

Zobacz, jak rodziły się rekordy!

Ta wystawa odkrywa kulisy lekkiej atletyki

Stroje rekordzistów, medale i pamiątki z największych zawodów sportowych – przez cały miesiąc centrum Toruń Plaza będzie tętniło lekką atletyką. Wszystko za sprawą otwartej w piątek (20 lutego) wystawy, przygotowanej przez Museum of World Athletics (MOWA). W uroczystym otwarciu uczestniczyli marszałek Piotra Całbecki, prezes Polskiego Związku Lekkiej Atletyki Sebastian Chmara, dyrektor MOWA Chris Turner, wiceprezydent Torunia Adam Szponka, przedstawiciele środowiska sportowego oraz wybitni zawodnicy. To wydarzenie towarzyszące naszym przygotowaniom do Halowych Mistrzostw Świata Kujawy Pomorze 26.



Otwarcie wystawy przygotowanej przez Museum of World Athletics

– Witam na Kujawach i Pomorzu, w regionie Mikołaja Kopernika – człowieka, który nauczył świat patrzeć na niebo inaczej. Sport, podobnie jak kosmos, ma swoje prawa, swoje gwiazdy i swoje momenty przełomowe. Nieprzypadkowo medal nadchodzących Halowych Mistrzostw Świata ma właśnie kształt gwiazdy, symbolizującej nasz region i jego obecność na mapie świata – podkreślił marszałek Piotr Całbecki. – Dziedzictwo sportu to nie tylko wspomnienia mistrzów, ale także szansa dla dzieci i młodzieży, by tworzyć własną historię i marzyć o przyszłości. Poprzez nasze działania – m.in. wolontariat, cykl „50 sztafet Kujaw i Pomorza” – inspirujemy młodych do podejmowania prób, do walki z własnymi ograniczeniami i determinacji na ich życiowej drodze. Gwiazda na medalu to zobowiązanie: światło nie zgaśnie po mistrzostwach, a Kujawy i Pomorze będą świecić dalej – dla sportu, dla młodych ludzi i dla regionu, który odważnie przyspiesza.

– Zgromadzone na wystawie pamiątki największych gwiazd światowej lekkiej atletyki pozwalają już na miesiąc przed mistrzostwami świata wczuć się w klimat najważniejszej imprezy sportowej sezonu – mówi Sebastian Chmara, prezes Polskiego Związku Lekkiej Atletyki. – Bo przecież już niedługo właśnie tutaj w Toruniu, w Kujawsko-Pomorskiem, na żywo będziemy mogli zobaczyć chociażby znakomitego Armanda Duplantisa, który bije rekord za rekordem i największe polskie gwiazdy. Jestem przekonany, że nieraz usłyszymy Mazurka Dąbrowskiego.

– To miłe uczucie być częścią historii światowej lekkiej atletyki – mówi Tomasz Majewski, kulomiot, dwukrotny mistrz olimpijski. – To fantastyczne uczucie mieć świadomość, że zrobiło się coś ważnego i wspominać te fajne chwile spędzone na sportowych arenach.

– Ta wystawa ma dla mnie wyjątkowy wymiar – mówi Paweł Wojciechowski, tyczkarz i ambasador mistrzostw świata. – Wróciłem tutaj

myślni do 1999 roku, kiedy w Bydgoszczy odbywały się mistrzostwa świata juniorów młodszych. Uczestniczyłem w tej imprezie w zupełnie innej roli – byłem „koszykowym”, czyli nosiłem płótki. A potem przyszedł 2008 rok – mistrzostwa świata juniorów i mój pierwszy medal na arenie międzynarodowej. Łezka się w oku kręci. Choć mam 37 lat, otwieram dziś muzeum, w którym jestem niejako eksponatem – moja fotografia wita zwiedzających już przy wejściu.

– To muzeum mieści się teraz w Toruniu, ale istnieje też w świecie wirtualnym. Dostęp do platformy cyfrowej muzeum można uzyskać ze strony World Athletics – wyjaśniał dyrektor MOWA Chris Turner.

– Poza tym, że znajduje się tutaj wiele artefaktów, to wskazany jest też kontekst, w jakim mistrzowie lekkiej atletyki zdobywali swoje medale i bili rekordy. Warto zwrócić uwagę na plakat na ścianie wind, który w naturalnej skali prezentuje wysokości pokonywane przez zawodników bijących rekordy podczas skoku wzwyż i skoku o tyczce.



Wystawa jest podróżą przez pół wieku historii lekkoatletyki, pełną unikatowych eksponatów z kolekcji MOWA – strojów, butów, medali i sprzętu, z którymi największe gwiazdy lekkoatletyki zdobywały tytuły i biły rekordy. Wśród nich kolce Marcusa O'Sullivan, mistrza świata w biegu na 1500 m z 1987 roku i strój Devynne Charlton, w którym w 2024 roku sięgnęła po mistrzostwo świata i rekord globu na 60 m przez płotki w Glasgow, a także kolce legendarnej Ireny Szewińskiej, jednej z najwybitniejszych postaci w historii światowego sprintu oraz buty Roberta Korzeniowskiego, czterokrotnego mistrza olimpijskiego w chodzie sportowym. Na odwiedzających czekają także interaktywne instalacje, w tym wizualizacje rekordów świata w skoku wzwyż i o tyczce oraz strefa pchnięcia kulą.

Kolekcja muzeum wzbogaciła się o kolejne pamiątki, które podczas piątkowej uroczystości przekazali skoczkini wzwyż Kamila Lićwinko* i kulomiot Tomasz

Majewski**. W spotkaniu wzięli także udział Jason Gardener*** i Robert Korzeniowski, czterokrotny mistrz olimpijski i legenda chodu sportowego, oraz pochodzący z naszego regionu lekkoatleci: wielokrotna medalistka mistrzostw Polski w skoku w dal Anna Matuszewicz i Paweł Wojciechowski, ambasador HMS Kujawy Pomorze 26, tyczkarz, medalista mistrzostw Europy i świata.

Uroczystość uświetniło uuhonorowanie Sebastiana Chmury trofeum World Athletics Heritage, prestiżowym wyróżnieniem przyznawanym przez organizację World Athletics. Prezesa Polskiego Związku Lekkiej Atletyki, Bydgoszczanina, doceniono za ogromny wkład w rozwój tej dyscypliny sportu.

Już za miesiąc najlepsi lekkoatleci globu rozpoczną zmagania o najwyższe laury podczas Halowych Mistrzostw Świata w Lekkoatletyce Kujawy Pomorze 26. Zawody w Kujawsko-Pomorskiej Arenie Toruń rozpoczną się 20 marca. Poranne sesje będą rozpoczynać się każdego dnia o godz. 10.05, natomiast sesje popołudniowe o godz. 18.35 w piątek i sobotę oraz o 17.40 w niedzielę. Pierwsze medale, w skoku wzwyż kobiet, będą rozdane już w pierwszej serii mistrzostw.

Wystawa MOWA

Otwarta do 22 marca 2026 r.
Lokalizacja: Toruń Plaza,
ul. Broniewskiego 90
Godziny otwarcia:
9.00-21.00
Wstęp: bezpłatny

Zeskanuj kod QR i zobacz wirtualne Muzeum Światowej Lekkiej Atletyki:



***Kamila Lićwinko** – polska lekkoatletka, specjalizująca się w skoku wzwyż. Dwukrotna finalistka igrzysk olimpijskich. Halowa mistrzyni świata, mistrzyni uniwersjady, brązowa medalistka mistrzostw świata. Rekordzistka Polski na otwartym stadionie i w hali.

****Tomasz Majewski** – polski kulomiot, działacz sportowy. Dwukrotny mistrz olimpijski w 2008 i 2012 roku.

*****Jason John Gardener** – były brytyjski lekkoatleta, sprinter. Jego największe osiągnięcia to mistrzostwo olimpijskie w sztafecie 4 x 100 metrów na igrzyskach olimpijskich w Atenach oraz halowe mistrzostwo świata i czterokrotne halowe mistrzostwo Europy w biegu na 60 metrów.

HMS Kujawy Pomorze 26: 50 sztafet na 50 dni przed lekkoatletycznym świętem

Od 20-22 marca w Kujawsko-Pomorskiej Arenie Toruń odbędą się lekkoatletyczne Halowe Mistrzostwa Świata Kujawy Pomorze. Będzie to druga w historii lekkoatletyczna impreza tej rangi w Polsce i pierwsza w naszym regionie.

Zbliżające się zawody poczynają również mieszkańcy, bo każdego dnia, aż do rozpoczęcia imprezy, we wszystkich powiatach województwa odbywają się eventy sportowe. Co ciekawe, drużyny tworzą różne grupy m.in. dzieci,



50 sztafet Kujaw i Pomorza, zajęcia z udziałem zawodników KST UKS Top Solec Kujawski

strażacy, członkowie kół zainteresowań, kluby sportowe. – W ramach cyklu „50 sztafet Kujaw i Pomorza” przez 50 dni, codziennie w innej gminie, odbywają się różnorodne aktywności sportowe i integracyjne adresowane do wszystkich – dzieci, młodzieży, dorosłych i całych rodzin. Zależy nam też na tym, by najbliższe dni łączyły się z budowaniem wspólnoty i radością ze wspólnego przeżywania zbliżającego się święta sportu. Wspólnie tworzymy te mistrzostwa! – mówi marszałek Piotr Całbecki.

„50 sztafet Kujaw i Pomorza” - kalendarz wydarzeń:

27.02.2026 - Golub Dobrzyń	10.03.2026 - Sępólno Krajeńskie
28.02.2026 - Chodecz (powiat włocławski)	11.03.2026 - Dobrzyń nad Wisłą (powiat lipnowski)
1.03.2026 - Nakło nad Notecią	13.03.2026 - Piotrków Kujawski (powiat radziejowski)
2.03.2026 - Strzelno (powiat mogileński)	14.03.2026 - Bydgoszcz
3.03.2026 - Górzno (powiat brodnicki)	15.03.2026 - Osie (powiat świecki)
4.03.2026 - Lubraniec (powiat włocławski)	16.03.2026 - Białe Błota (powiat bydgoski)
5.03.2026 - Kowalewo Pomorskie (powiat golubsko-dobrzyński)	17.03.2026 - Kijewo Królewskie (powiat chełmiński)
7.03.2026 - Włocławek	18.03.2026 - Grudziądz
8.03.2026 - Łabiszyn (powiat żniński)	19.03.2026 - Radziejów

Więcej na www.kujawsko-pomorskie.pl

Najniższa emerytura w naszym regionie to 6 groszy brutto

Małgorzata Stempinska
malgorzata.stempinska@polskapress.pl

2 grosze brutto - to obecnie najniższa emerytura w Polsce. Wypłaca ją ZUS na Dolnym Śląsku i Lubelszczyźnie. W naszym regionie „rekordzista” dostaje 6 groszy brutto.

Poprosiliśmy ZUS o informacje o najniższych, tzw. groszowych, emeryturach wypłacanych w naszym kraju. Wszystkie przesłane nam kwoty nie zawierają dodatków i są wypłacane obecnie, czyli jeszcze przed tegoroczną, marcową waloryzacją.

Dostają grosze za kilka dni pracy

Tak więc najniższą emeryturę wynoszącą 2 grosze brutto otrzymują beneficjenci dwóch Oddziałów ZUS: na Dolnym Śląsku i Lubelszczyźnie. Kolejne miejsca w zestawieniu zajmują emeryci z: Pomorza Zachodniego i Mazowsza (3 grosze brutto), Podlasia (5 groszy brutto), Kujaw i Pomorza (6 groszy brutto), Śląska i Wielkopolski (7 groszy brutto), Podkarpacia i Łódzkiego (8 groszy brutto), Lubuskiego oraz Warmii i Mazur (11 groszy brutto), Małopolski (14 groszy brutto), Pomorza (22 grosze brutto), Świętokrzyskiego (36 groszy brutto) oraz Opolszczyzny (37 groszy brutto).



Seniorka, która otrzymuje 6 groszy brutto emerytury, przepracowała 3 miesiące na umowę zlecenia

Otrzymaliśmy również z ZUS zestawienie najniższych emerytur wypłacanych na Pomorzu i Kujawach.

Wspomniane już 6 groszy wypłaca oddział ZUS w Bydgoszczy. - Świadczenie otrzymuje obecnie 64-letnia kobieta, która na przestrzeni całego życia przepracowała 3 miesiące na umowie zlecenia - mówi Krystyna Michałek, regionalny rzecznik ZUS województwa kujawsko-pomorskiego.

Symboliczną emeryturę w wysokości 27 groszy wypłaca także oddział ZUS w Toruniu. Trafia na konto 64-latki, która zakończyła pracę zawodową cztery lata temu. Składki

odprowadziła za 17 dni. Nie wiele wyższe świadczenie - 53 grosze brutto - należy się 66-latkowi, który emerytem jest od roku. Toruński Oddział ZUS wyliczył mu to świadczenie uwzględniając 29 dni stażu pracy.

W gronie osób pobierających najniższe emerytury w Kujawsko-Pomorskiem jest również kobieta, która obecnie ma 63 lata. Na świadczenie przeszła w wieku 60 lat. Jej emerytura to 58 groszy brutto. Składki miała odprowadzane przez 19 dni.

Wśród dziesięciu najniższych emerytur wypłacanych na Pomorzu i Kujawach przez ZUS są jeszcze następujące

kwoty: 79 groszy brutto, 87 groszy, 94 grosze brutto, 1,36 zł brutto, 1,88 zł brutto oraz 2,45 zł brutto.

Wiele przywilejów dla groszowych emerytów

Każda emerytura, nawet ta 6-groszowa, daje status emeryta i wszystko, co się z nim wiąże: prawo do bezpłatnej publicznej służby zdrowia, renty rodzinnej, zasiłku pogrzebowego, trzynastej i czternastej emerytury i to w pełnej wysokości. Tacy emeryci korzystają nie na emeryturze, ale na innych świadczeniach z nią związanych. Często otrzymują więcej niż wpłacili do systemu.

Jak do roku, ZUS wypłaci „trzynastki” wraz ze świadczeniem za kwiecień. Nie trzeba składać wniosku. W tym roku trzynasta emerytura wyniesie 1978,49 zł brutto. Z dodatkowego świadczenia potrącajony jest podatek i składka zdrowotna. Kwota netto trzynastki uzależniona jest od wysokości pobieranego świadczenia podstawowego. Im niższa jest emerytura czy renta, tym wyższa będzie „trzynastka”. - Do każdego uprawnionego emeryta i rencisty zostanie wysłana decyzja o przyznaniu dodatkowego rocznego świadczenia pieniężnego. Razem z tą decyzją zostanie przekazana decyzja o podwyższeniu świadczeń od 1 marca 2026 roku, czyli tzw. decyzja waloryzacyjna - podsumowuje Krystyna Michałek. ©

Polowanie w środku wsi w gminie Kruszwica

Mieszkańcy Słabęcina, gmina Kruszwica, żyją w strachu. W styczniu tego roku byli świadkami nocnego polowania, które odbywało się z rażącym naruszeniem prawa. Strzelano do saren kilkadziesiąt metrów od zabudowań, a nawet z samochodu. Co więcej - jak ustaliliśmy - podejrzewany o to myśliwy nie był tego dnia wpisany na żadne polowanie.

Do zdarzenia doszło 20 stycznia, około godziny 23. Spokojną wieś przeciął odgłos strzałów.

- Usłyszeliśmy trzy strzały za domem. Podeszliśmy do okna zobaczyć, co się dzieje. Myśliwy z bronią kierował się do samochodu. Po krótkim czasie padł strzał z drugiej strony domu, z samochodu - relacjonuje jeden z mieszkańców Słabęcina.

Jak opisuje świadek, mężczyzna podjechał na drugą stronę, po czym zaparkował zwierzynę do samochodu. Pojazd, którym się poruszał jest dość charakterystyczny. Mieszkańcy są przerażeni. Podkreślają, że do strzałów dochodziło w bezpośrednim sąsiedztwie domów.

- To było dosłownie tak, że za domem strzelał kilka razy, wsiadł do samochodu, przejechał kawałek i z samochodu strzelał. Minimalna odległość od zabudowań powinna wynosić 150 metrów, a on strzelał może 30 metrów od domów - zauważył nasz rozmówca.

- Był przypadek pół roku temu w Balczewie. Kula ude-

rzyła w okno, gdzie bawiło się dziecko. Odbije się kula od czegoś, nikt nie wie gdzie polecą albo dziecko? I tragedia gotowa - ostrzeżę mężczyzna.

Najbardziej bulwersujące jest jednak to, że myśliwy - jak udało się ustalić mieszkańcom - nie był tego dnia wpisany na polowanie.

- Czyli tu jest kolejny element - kłusownictwo. Stanowisko, na którym jest, sprawia, że czuje się bezkarny - mówi stanowczo świadek.

Są dowody. Kamery zarejestrowały całe zdarzenie. Mieszkańcy dysponują materiałami, które mogą być kluczowe w wyjaśnieniu sprawy.

- Mamy nagranie z kamer budynku, gdzie przemieszcza się samochodem służbowym po zwierzynę i wrzuca ją na pakę. Widoczne są data i godzina - zapewnia nasz rozmówca.

Następnego dnia po zdarzeniu mieszkańcy poszli na miejsce polowania, by udokumentować ślady.

- Były widoczne ślady samochodu oraz krwi - od miejsca zabicia do przeniesienia zwierzyny na samochód. Mamy również zdjęcia - dodaje.

Mieszkańcy apelują o pomoc, ale zastanawiają się, czy zgłoszenie sprawy na policję ma sens.

Przypomnijmy: polowanie z samochodu jest absolutnie zabronione i stanowi wykroczenie, a nawet przestępstwo kłusownictwa. © redonl

Co wolno śpiewać w kościele? Gitara tylko klasyczna, a saksofon i perkusja zakazane

Agneszka Romanowicz
agnieszka.romanowicz@polskapress.pl

Czytelnicy nie mogą się pogodzić z zakazem występowania w kościołach, który biskup włocławski nałożył na zespół Emmanuel z Topólki. - W moim kościele można śpiewać pieśni patriotyczne, co w tym złego? - dziwią się fani. Sprawdziliśmy, co wolno, a czego nie muzykom w kościele.

Przypomnijmy, zespół Emmanuel z Topólki w powiecie radziejowskim, który od kilkunastu lat zajmuje się oprawą muzyczną mszy świętych, dostał roczny zakaz występowania na uroczystościach kościelnych w diecezji włocławskiej.

Zespół podaje, że powodem było śpiewanie pieśni patriotycznych na mszy św. za ojczyznę w Narodowe Święto Niepodległości.

Diecezja wyjaśnia, że zespół złamał zarządzenie wydane przez bpa Wiesława Meringa z 2016 roku, zgodnie z którym wykonywanie utworów nieliturgicznych świeckich jest zakazane.

Napiszcie skargę na biskupa

Internauci nie mogą się temu nadziwić:

● W moim kościele od lat śpiewamy pieśni na ojczyznę. Teraz boję się podać, z której jestem parafii, bo jeszcze mój proboszcz będzie miał kłopoty - komentuje Czytelniczka z Bydgoszczy.

● Byłam na pogrzebie z udziałem trębacza, który odegrał „My Way” Franka Sinatry. Nikt nie widział w tym nic złego. Widać biskup pelpliński jest bardziej wyrozumiały niż biskup z Włocławka.

● Napiszcie do papieża skargę na biskupa, on nie jest bez-



Paweł Kieliszkiwicz, student muzyki kościelnej na Akademii Muzycznej w Łodzi, nie raz występował w Kujawsko-Pomorskiem

karny. Jeśli jesteście pewni swoich racji, to prawda zwycięży.

● Pierwsze słyszę, że w kościołach nie można śpiewać pieśni za ojczyznę. W latach Polski Ludowej to była reguła.

Tylko utwory sakralne

Czy biskup włocławski faktycznie pozwolił sobie na zbyt wiele? Zapytaliśmy, czego uczą studentów muzyki kościelnej?

- Dozwolone są utwory klasyczne sakralne, na przykład

Bacha - odpowiada Paweł Kieliszkiwicz, student muzyki kościelnej na Akademii Muzycznej w Łodzi.

Kilkukrotnie występował w kościołach w naszym regionie, m. in. w Bydgoszczy, Grucznie, Topolnie.

- Niestety, największym problemem obecnych czasów jest muzyka popowa grana w kościele - potwierdza pan Paweł. - Najczęściej zdarza się to na ślubach, np. organista jest przesypany o zagranie „Hallelujah” ze „Shreka”, co jest kategorycznie zabronione w liturgii. Dotyczy to wszystkich piosenek świeckich, nawet takich, które według pary młodej mają charakter religijny, pasujący do kościoła.

Gitara tylko w stylu klasycznym

Zasady obejmują też instrumenty, których wolno używać w kościele.

- Granie na gitarze nie jest jednoznacznie zabronione, ale jest jasno powiedziane, że w liturgii powinna być wykonywana subtelnie, klasycznie, bez szarpania strun - wyjaśnia Paweł Kieliszkiwicz. - Ponadto jest zabronione, aby piosenki religijne, wykonywane czasami z gitarą, były zagrane na organach, gdyż brak im dostojności, na jaką zasługują organy. W kościele nie wolno używać takich instrumentów, jak: saksofon, pianino, perkusja czy inne służące do muzyki popowej.

Od organistów oczekuje się, że wpasują się w tematykę mszy świętej.

- Mamy dobierać pieśni do liturgii i trzymać się zasad wynikających z tradycji i dokumentów o grze w liturgii. Powinniśmy korzystać z określonych śpiewników, np. ks. Jana Siedleckiego czy śpiewników „Droga do Nieba”, „Niepojęta Trójca”. ©

W Szczecinie o przyszłości energetyki wiatrowej

Jarosław Jaz
jaroslaw.jaz@polskapress.pl

2 marca 2026 roku w Teatrze Polskim w Szczecinie odbędzie się II Forum Dostawców Polskiej Energetyki Wiatrowej „Energia z Polski - Local First”.

Polska Press Grupa, we współpracy z Urzędem Marszałkowskim Województwa Zachodniopomorskiego, organizuje II Forum Dostawców Polskiej Energetyki Wiatrowej „Energia z Polski - Local First”. Celem wydarzenia jest włączenie polskich firm z sektora małych i średnich przedsiębiorstw w realizację wielomiliardowych inwestycji w farmy wiatrowe na lądzie i morzu.

- Polska transformacja energetyczna to nie tylko wielkie inwestycje, ale przede wszystkim realna szansa rozwojowa dla krajowych przedsiębiorstw. II Forum Dostawców Polskiej Energetyki Wiatrowej tworzy przestrzeń, w której polskie firmy, zwłaszcza z sektora MŚP, mogą zdobyć wiedzę, nawiązać relacje i przygotować się do udziału w projektach, które w najbliższych latach będą kształtować gospodarkę i bezpieczeństwo



Koncepcja „Wind Factory of Europe” zakłada budowę silnego zaplecza przemysłowego dla energetyki wiatrowej

energetyczne kraju. Naszym celem jest łączenie biznesu, administracji i inwestorów wokół idei „Local First” - mówi Zenon Nowak, prezes zarządu Polska Press Grupy.

Silne zaplecze, lokalne kompetencje

Inicjatywa stanowi bezpośrednią kontynuację debaty zapoczątkowanej podczas I edycji Forum we wrześniu 2025 roku w Warszawie. Wówczas zdefiniowano pilną potrzebę stworzenia stałej platformy dialogu między administracją rządową, inwestorami a polskim biznesem. Tegoroczne spotkanie

w Szczecinie koncentruje się na praktycznym wymiarze idei „Wind Factory of Europe”. Koncepcja ta, zrodzona na Pomorzu Zachodnim, zakłada budowę silnego zaplecza przemysłowego dla energetyki wiatrowej w oparciu o lokalne kompetencje, technologie i zasoby. Jej celem jest rozwój odpornego i konkurencyjnego łańcucha dostaw, w którym polskie firmy odgrywają kluczową rolę zarówno w projektach onshore, jak i offshore. Włączenie MŚP w realizację projektów wiatrowych oznacza nie tylko nowe możliwości biznesowe i dywersyfikację działalności, lecz także

wzmocnienie regionalnych gospodarek, zwiększenie bezpieczeństwa energetycznego oraz realizację celów klimatycznych Unii Europejskiej.

- Pomorze Zachodnie, jeśli chodzi o rozwój energii wiatrowej, jest liderem w kraju. To nie przypadek, bo transformację energetyczną rozpoczęliśmy dwadzieścia pięć lat temu. Dlatego oczekujemy, że Szczecin i województwo zachodniopomorskie staną się filarem krajowego zintegrowanego modelu rozwoju przemysłu morskiej energetyki wiatrowej, w którym wszystkie kluczowe ogniwa, od przygotowania i budowy, przez eksploatację, aż po serwis i recykling, będą miały tu swoje zakorzenienie - podkreśla Olgierd Geblewicz, marszałek województwa zachodniopomorskiego

Rząd, eksperci, przedsiębiorcy

Wydarzenie będzie poświęcone roli polskich przedsiębiorstw, w szczególności małych i średnich firm, w realizacji wielkoskalowych projektów energetycznych. Bogaty program II edycji Forum pozwoli wyposażać przedsiębiorców w kompleksową wiedzę nie-

zbędną do wejścia na rynek OZE. Przedstawiciele Ministerstwa Aktywów Państwowych, prezes zarządu Orlen SA Ireneusz Fąfara, a także przedstawiciele Enea SA, PGE Baltica, ARP SA oraz szczecińskiej stoczni Wulkan będą dyskutować o „Local content jako narzędziu rozwoju polskiego przemysłu”. W dyskusji o „Samorządach jako filarach local first” udział wezmą marszałkowie województw zachodniopomorskiego, lubuskiego i wielkopolskiego. Panele dotyczyć będą również finansowania i zabezpieczenia inwestycji. Udział wezmą w nim przedstawiciele banków PKO BP oraz BGK i państwowego ubezpieczyciela PZU SA, a także „Onshore i offshore - skala inwestycji i potencjał polskich firm” z przedstawicielami polskich spółek energetycznych.

Eksperci i praktycy branżowi szczegółowo omówią znaczenie strategii „Local First”, wskazując konkretne korzyści z niej płynące. Uczestnicy wydarzenia zapoznają się z aktualną mapą planowanych inwestycji w energetyce wiatrowej oraz poznają potencjał kontraktowy, jaki te projekty generują dla małych i średnich przedsiębiorstw.

Narzędzia dla polskich firm

Kluczową częścią merytoryczną wydarzenia będzie analiza wymagań technicznych i formalnych. Prelegenci wyjaśnią zawisłości procedur certyfikacyjnych oraz standardy zakupowe obowiązujące w projektach dużej skali, co pozwoli firmom lepiej przygotować się do postępowania przetargowego. Uzupełnieniem tej wiedzy będzie przegląd dostępnych mechanizmów finansowania transformacji i rozwoju przedsiębiorstw.

Wydarzenie wpisuje się w szerszy kontekst działań rządowych na rzecz zwiększenia udziału tzw. local content w strategicznych inwestycjach. Jak podkreślano podczas poprzedniej edycji, w najbliższej dekadzie sektor ten zaabsorbuje biliony złotych. II Forum w Szczecinie ma za zadanie dostarczyć polskim firmom narzędzi, dzięki którym kapitał ten pozostanie w krajowym obiegu gospodarczym.

Partnerami medialnymi II Forum Dostawców Polskiej Energetyki Wiatrowej „Energia z Polski - Local First” są: StrefaBiznesu.pl, Naszemiasto.pl, Głos Szczeciński i GS24.pl.

MATERIAŁ INFORMACYJNY SIECI BIEDRONKA

0011459462

Historia, która zaczęła się po cichu. Jak jedno „wyślij” odmieniło życie Krzysztofa Trojana

Krzysztof Trojan nie planował zostać pisarzem. Przy najmniej nie takim „prawdziwym”, którego książka trafia do rąk dziesiątek tysięcy dzieci w całej Polsce. Ten ojciec czwórki dzieci spod Krakowa przez lata pisał po godzinach, najczęściej wtedy, gdy mieszkanie wreszcie cicho, a codzienne obowiązki przestawały domagać się uwagi. To były teksty „do szuflady” - opowiadania, które istniały bardziej z potrzeby serca niż z wiary, że kiedykolwiek ujrzą światło dzienne.

Dlatego kiedy pewnego dnia kliknął „wyślij” i zgłosił swoją historię do konkursu Piórko. Nagroda Biedronki za książkę dla dzieci, nie powiedział o tym prawie nikomu. Nie chciał robić szumu, budować oczekiwań, ani tłumaczyć, dlaczego w ogóle próbuje. „Pisałem dla siebie” - mówi dziś. „Nie sądziłem, że to za interesuje kogokolwiek spoza mojego najbliższego otoczenia”.

A potem przyszła wiadomość, która zmieniła wszystko.

Niewypowiedziane marzenie, które stało się faktem

Krzysztof nie dowierzał, gdy dowiedział się, że to właśnie jego historia - „Co zrobić z tym smokiem?” została nagrodzona w kategorii Tekst. Wśród przyjaciół tę informację przyjęto z wielkim zaskoczeniem - większość znajomych nie miała pojęcia, że pisze.

„Byli zdziwieni, ale bardzo życzliwi. Dla nich to było odkrycie. Dla mnie - spełnienie czegoś, o czym nie mówiłem głośno” - wspomina.

Wygrana przyniosła mu nie tylko satysfakcję. Stała się także realną pomocą w momencie, w którym najbardziej jej potrzebował. Nagroda finansowa poważnie wsparła budżet związany z zakupem pierwszego własnego domu. „To był idealny moment. Wynik ogłoszono trzy miesiące przed zakończeniem na-

szej dotychczasowej umowy najmu. Piórko dało nam nie tylko radość, ale też poczucie bezpieczeństwa”.

Ale to, co zwycięstwo zmieniło najbardziej, jest niewidoczne na papierze - i nie da się tego przeliczyć na żadne kwoty.

Poczucie sprawczości, które zostaje na zawsze

„Zwycięstwo pozwoliło mi uwierzyć, że moje pisanie może interesować kogoś poza najbliższymi. To potężne uczucie sprawczości” - mówi Krzysztof.

Ta wiara sprawiła, że do pisania wrócił z nową energią. Zaczął redagować wcześniejsze teksty, planować kolejne opowieści. Rozmowy o pisaniu stały się czymś naturalnym w jego otoczeniu - tematem, który już nie zaskakuje, ale budzi ciekawość.

Piórko 2026 - konkurs, który dojrzewa razem z twórcami

To właśnie takie historie jak ta pokazały organizatorom, że Piórko powinno rosnąć wraz z uczestnikami. Dlatego



tegoroczna edycja przynosi największe zmiany w historii konkursu - przemyślane, odpowiedzialne i oparte na obserwacjach twórców. Najważniejsza decyzja to pełne otwarcie konkursu na wszystkich uczestników. Znika ograniczenie mówiące, że uczestnik nie może mieć wcześniejszej publikacji. To symboliczny, ale bardzo istotny krok: Piórko staje się przestrzenią dla wszystkich, którzy tworzą książki dla

dzieci - niezależnie od ich doświadczenia.

Drugą fundamentalną zmianą jest wprowadzenie **dwóch równoległych ścieżek konkursowych**:

✓ Piórko Wyobraźni

Ścieżka tradycyjna, w której powstaje wyłącznie w pełni autorska twórczość. To ukłon w stronę rzemiosła literackiego i ilustratorskiego. Nagrody w tej ścieżce są najwyższe w historii Piórka - po 120 000 zł netto dla autora tekstu i ilustratora oraz publikacja książki w kilkudziesięciu tysiącach egzemplarzy.

✓ Piórko Innowacji

Ścieżka dla twórców pracujących z narzędziami AI, pod warunkiem pełnej transparentności procesu. Prace nagradzane są kwotą 30 000 zł netto, a zwycięska książeczka zostaje opublikowana jako e-book powiązany QR-kodem z wydaniem drukowanym.

Istotną zmianą jest także **doprecyzowanie długości**



PIÓRKO 2026

NAGRODA BIEDRONKI ZA KSIĄŻKĘ DLA DZIECI

tekstów - nowy przedział to **30 000-50 000 znaków**, co pozwala autorom tworzyć spójne, pełne historie, łatwiejsze do porównania i oceny.

Konkurs, który zmienia się po to, by dalej zmieniać życie

Nowe zasady, bardziej przejrzyste ścieżki twórcze i otwartość na różne sposoby opowiadania historii mają jeden cel: sprawić, by Piórko nadal było przestrzenią, która daje twórcom nie tylko nagrody, ale również impuls, by ruszyć dalej. Tak jak stało się w przypadku Krzysztofa Trojana, który pisał po nocach, w ciszy. A dziś tworzy inaczej - z odwagą.

Szczegółowe informacje na temat zasad konkursu i ważne terminy dostępne są na stronie: <https://piorko.biedronka.pl/>.



Jarosław Reszka

MINAŁ TYDZIEŃ O MASZYNACH BARDZIEJ LUDZKICH NIŻ LUDZIE

Czas dziś na dwie obserwacje pod wspólnym dziennikarskim hasłem „Wracamy do tematu”. W moim poprzednim felietonie z cyklu „Minał tydzień” podzieliłem się wrażeniami z pierwszego zwrotu plastikowych butelek objętych kaucją pod sieciowym marketem w maszynie popularnie zwanej butelkomatem. W felietonie m.in. wyraziłem zdziwienie tym, że maszyna bez protestu przyjęła pęta po wodzie źródlanej, którego przez roztargnienie najpierw zmiażdżyłem, a zorien-

towawszy się, że w ten sposób tracę 50 groszy, plastik na powrót uformowałem w coś, co tylko z grubsza przypominało butelkę.

Pisząc dzisiejszy felieton, mam za sobą kolejne doświadczenie ze zwrotu większej partii plastikowych, kaucjonowanych opakowań. Zgłosiłem się z nimi do innego sieciowego marketu w mojej okolicy. Ta druga sieć nie zafundowała jeszcze klientom butelkomatu, więc blisko 30 petów musiałem wyłożyć na taśmę przed kasą. Na szczęście była to pora, w której po sklepie snuli się nie-



Moja pompa ciepła zimą radzi sobie z trudem, ale i tak lepiej niż firma, która ją sprzedała

liczni klienci. Nie musiałem więc chwycić niechętnych spojrzeń ludzi, czekających na kasową obsługę. Swego stosunku do mnie nie ukrywała natomiast młoda kasjerka. Mówiąc bez ogródek, spojrzała na korowód pustych butelek tak jakbym wyłożył przed nią zdechłe myszy.

Na szczęście po chwili dziewczyna przełamała odrazę i zgromadzone przeze mnie zbiory wylądowały w metalowym wózku za kasą. Tym razem wśród plastików nie było żadnego odratowanego zgnieciucha. Kilka tylko butelek, tych z najcieńszego materiału, nosiło ślady użytkowania w postaci niewielkich wgnieceń. Mimo to przed otrzymaniem zwrotu kaucji dostałem reprzy-

mendę i ostrzeżenie: - Ostatni raz przyjmuję od pana butelki w takim stanie. One powinny być idealnie gładkie - rzuciła kasjerka. Odpowiedziałem jej pokornym uśmiechem, bo, było nie było, butelki przyjęła i nie musiałem z nimi dalej wędrować na mrozie w poszukiwaniu szczęścia. Pomyślałem sobie jednak, że z następną partią wrócę do butelkomatu. Maszyna okazała się bowiem bardziej wyrozumiała niż bliźni.

Drugi powracający temat to ogrzewanie za pomocą pompy ciepła. W styczniu w tym miejscu wyraziłem zdumienie po odczycie zużycia prądu w moim niewielkim domu (130 m.kw., licząc z garażem), gdy nadeszły większe mrozy. Dość powiedzieć, że te koszty pod-

niosły się wtedy mniej więcej dwukrotnie w stosunku do grudnia - do ponad 70 zł na dobę. Z perspektywy kończącego się niebawem lutego uznaję niestety, że styczniowe kłopoty były jedynie przygrywką do większych perturbacji. Zaraz na początku tego miesiąca pompa niespodziewanie straciła moc i w ogóle przestała spełniać podstawową funkcję. W kilkustopniowe mrozy temperatura wody w kaloryferach dochodziła zaledwie do 29 stopni (ciepło nieodczuwalne), a podczas krótkiej odwilży, przy +3 na dworze, temperatura w panelach wspięła się raptem do 33 stopni, toteż w domu zrobiło się zimno jak w psiarni.

Pompe mam na gwarancji, kupioną w firmie mającej sie-

dzibę na południu Polski. Wezwanie lokalnego specja nie wchodziło więc w rachubę. Zaczęłem systematycznie nękać telefonami biuro obsługi klienta. Za każdym razem spotykałem się z serdecznym przyjęciem mało zorientowanego w specyfice pomp personelu biura i zapewnieniem, że zgłoszenie niezwłocznie przekazują do serwisu, skąd mam spodziewać się telefonu. I za każdym razem nikt z serwisu nie dzwonił.

Tak to trwało przez 3 dni. W tym czasie temperatura w domu spadła do 16 stopni. Wreszcie po moim kolejnym dramatycznym monologu przed panią z biura doczekałem się reakcji fachowca. Nie, nie przyjechał przyjrzeć się pompie. Przez telefon poinstruował mnie jedynie, jak w sterowniku przestawić temperaturę włączania się elektrycznej grzałki (zużycie prądu: około 5 kW/h), która wspomaga działanie pompy w największe mrozy. Ustawienie fabryczne grzałki to -15 stopni. Od tamtego dnia za radą specja ustrojstwo to włącza się u mnie, gdy na dworze są mniej niż +2 stopnie. W domu znów zrobiło się ciepło, ale jeszcze większym kosztem.

W międzyczasie w Internecie znalazłem wieść, że firma, która sprzedała mi pompę, niedawno zwolniła 40 procent załogi. To chyba wszystko tłumaczy... ©©



Ryszard Tadeusiewicz, profesor AGH

DLACZEGO NIE SZANUJEMY PAMIĘCI TWÓRCÓW TECHNIKI?

Pisałem już na ten temat w moich felietonach, ale było to ponad 10 lat temu, a ponieważ przez tę dekadę nic się nie zmieniło, więc na zasadzie „kropki, która draży skałę” pozwalam sobie wrócić do tego bolesnego dla mnie tematu. Martwi mnie, dlaczego tak rzadko i w tak ograniczonym stopniu jesteśmy skłonni akcentować w przestrzeni publicznej uznanie i wdzięczność dla twórców techniki? Przecież technika nas otacza, ochrania i wspomaga. Nie boimy się mrozów, który nas ostatnio atakują, bo mamy skuteczne urządzenia ogrzewające nasze mieszkania, biura, sklepy i urzędy. Urządzenia techniczne! Mimo różnych problemów hydrologicznych mamy czystą

i zdrową wodę w naszych mieszkaniach. Dzięki technice wodociągów!

Świertgotu komórki słuchamy częściej niż śpiewu ptaków, na ekran laptopa patrzymy częściej niż na krajobrazy, brak prądu jest bardziej dokuczliwy niż najgorszy deszcz, a na możliwość przybycia do celu bardziej wpływa stan dróg niż odległość. Technika nas otacza i technika pomaga. Ale czy wiemy, skąd się wzięły te wszystkie techniczne urządzenia, które nam towarzyszą, które nam służą i które uważamy za oczywiste i naturalny składnik naszego świata? Kto to wymyślił, zrobił, upowszechnił?

Na ogół nie, bo w obiegowej świadomości dokonania inżynierów nie istnieją! Pisałem już o tym

w wielu miejscach, ale robię to tu ponownie. Tak jak Katon, który był z tego znany w rzymskim Senacie z tego, że niezależnie od tego, na jaki temat była mowa, kończył zawsze swoje przemówienie słowami: „Ceterum censeo Carthaginem delendam esse” (Ponadto uważam że Kartagina powinna zostać zburzona).

No i Kartaginę zburzono! Bo Katon wierzył, że tak trzeba...

Tak samo ja wierzę, że trud i wiedza inżynierska powinny być bardziej dostrzegane i lepiej doceniane. Nie finansowo, ale prestiżowo!

Polska gospodarka się rozwija. Aspirujemy do grupy G20 - dwudziestu największych organizmów gospodarczych świata. To wielki sukces i chwała wszystkim, którym to zawdzięczamy. Jednak rozwój gospodarki musi się opierać na rozwoju różnego rodzaju innowacyjnej wytwórczości, a owe innowacje są następstwem myśli inżynierskiej. Trzeba pamiętać, że wartości przybywa w wyniku tego, że się umiejętnie wytwarza coś, czego inni potrzebują. Coś, czego wcześniej nie było, a gdy zostało wymyślone - to wszyscy zapragną to mieć. Ale to trzeba najpierw wymyślić, a potem wyprodukować.

Nowości techniczne wymyślają inżynierowie. Oni także projektują i organizują proces wytwarzania, a efekty ich dorobku twórczego są głównym źródłem

zamożności najbogatszych krajów świata. Wystarczy spojrzeć dookoła. Na to, jakich przedmiotów używamy, jak podróżujemy, jak się komunikujemy z innymi ludźmi, jak wykonujemy różne prace, nawet na to, jak się bawimy.

A jednak przywykliśmy szanować i doceniać dzieła wodzów („patrz Kościuszko na nas z nieba”), artystów („bo Słowacki wielkim poetą był”) albo polityków („ulic i placów imienia Piłsudskiego jest dziś w Polsce więcej, niż było wszystkich legionistów Marszałka razem wziętych”). Natomiast z lekceważeniem traktujemy dokonania techników. Na zasadzie wyjątku zdarza się, że wybitny naukowiec czasem się doczeka uznania potomnych (Kopernik, Skłodowska-Curie itp.). Natomiast najwybitniejszy nawet inżynier - nigdy. Sądzę, że to trzeba zmienić. I dlatego od wielu lat w różnych miejscach, w różnej formie i z różnym skutkiem usiłuję popularyzować osiągnięcia nauk technicznych. Uważam, że nowoczesny człowiek, który jest dzień i noc otoczony setkami różnych systemów technicznych - jeśli jest człowiekiem myślącym, to może czasem chcieć dowiedzieć się czegoś na temat całej tej „technosfery”, która go otacza. I na temat tych, którzy ją stworzyli!

Dziś profesor Ryszard Tadeusiewicz otrzyma tytuł doktora honoris causa Politechniki Krakowskiej.

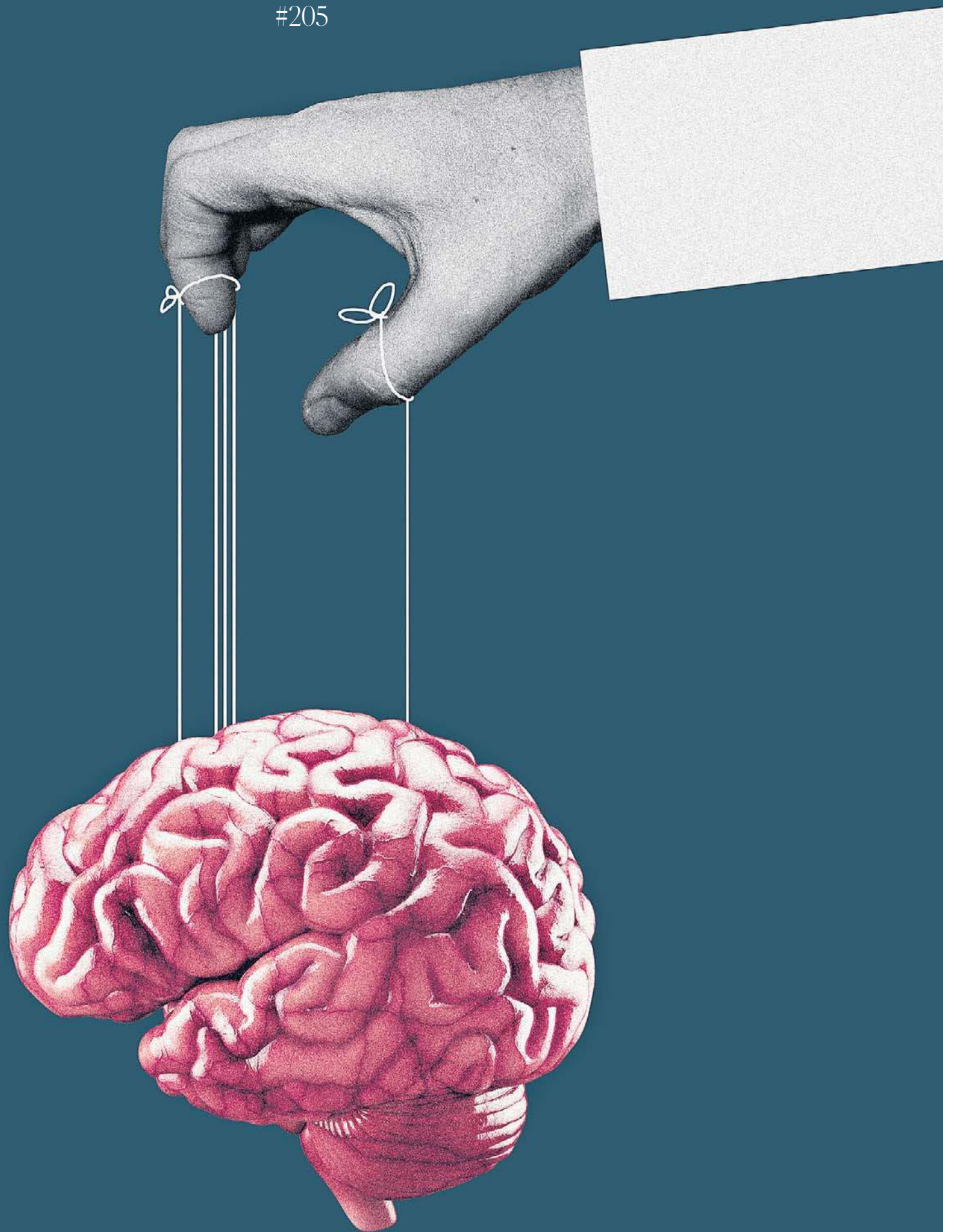
ZDJĘCIE TYGODNIA



Zespół Szkół Elektrycznych w Bydgoszczy przygotowuje się do jubileuszu 50-lecia. Wielka gala - 11 kwietnia. Na zdjęciu - zajęcia w jednej z sal ZSE

PULS

#205



Str. 16-17
Gdzie się czAI – AI?

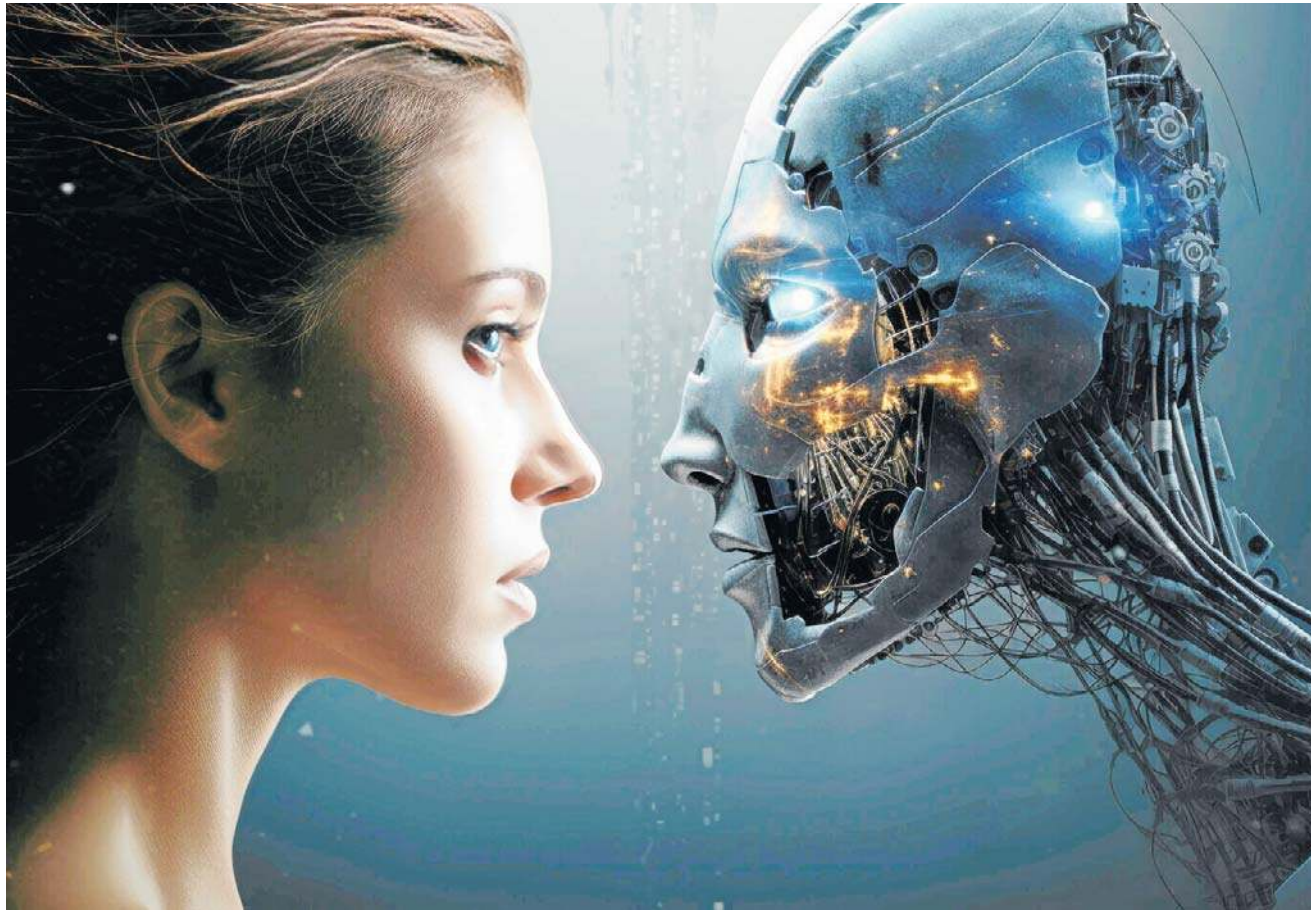
W filmie „Poland. Mission Confidence”, zrealizowanym na zlecenie Fundacji Roberta Dobrzyckiego, zapowiada pan stworzenie w naszym kraju sztucznej inteligencji bardziej dostosowanej do potrzeb człowieka. Co konkretnie ma pan na myśli?

Miałem na myśli konkretny projekt, który zgłosiliśmy do konkursu w programie Horyzont Europa, w ścieżce Research and Innovation Action (RIA). Niestety, dofinansowanie dostały inne dwa albo trzy projekty; duże, rzędu 20 mln euro. Nasz projekt też był duży: 31 partnerów, z czego kilku z Polski. Chodziło o stworzenie systemu opartego na sztucznej inteligencji, który wspomagałby opiekę zdrowotną poprzez analizy, jak i wsparcie pracowników ochrony zdrowia. To miało być rozwiązanie, które dałoby się szeroko wdrażać w całej Europie. Brała w tym udział Fundacja Global Artificial Intelligence i liczne instytuty związane ze zdrowiem. Liderem była grupa z Heidelbergu. Takich inicjatyw jest dziś zresztą więcej. Na przykład kończymy też projekt związany z konkursem ogłoszonym przez firmę Dell; można było wygrać mikrosuperkomputer oparty na kartach NVIDIA. Zgłoszono się 630 bardzo różnych projektów. Pokazują one jedną rzecz: rośnie zapotrzebowanie na AI, która zachowuje prywatność i działa lokalnie. A do tego takie podręczne superkomputery bardzo się przydają. Zastosowań jest mnóstwo: od odciążania biurokracji, przez analizy i dokumentację medyczną, po nagrywanie i analizę sesji medycznych czy wsparcie w psychiatrii. Są projekty wspomagające terapię, ale też bardziej naukowe, na przykład z obszaru genomyki. Są też bardzo praktyczne zastosowania. Prawnicy są dziś bardzo zainteresowani AI, jeśli chodzi o wyszukiwanie informacji i wspomaganie pisanie dokumentów, które jest uciążliwe, a często schematyczne. AI może tu przynajmniej przygotować dobry szkic. Do tego dochodzi wsparcie seniorów, walka z dezinformacją, zastosowania biznesowe, ale też pomoc osobom z niepełnosprawnościami, na przykład wsparcie osób niewidomych czy rozwiązania związane z językiem migowym. Naprawdę bardzo dużo się dzieje.

Co oznacza fakt, że projekt przepadł w konkursie i nie dostanie dofinansowania? Co się teraz z nim stanie? Upadnie? Mam nadzieję, że nie. Na 12 możliwych punktów dostaliśmy 9,5 punktu, więc byliśmy tylko trochę poniżej kreski. To nie była więc bardzo krytyczna ocena. Trzeba też pamiętać, że projekt z udziałem 31 instytucji

Nie nadejdzie jedna wszechmocna AI, która zrobi wszystko za nas. Największa szansa dla Polski nie leży w kopiowaniu globalnych gigantów, lecz w budowaniu własnych rozwiązań dla medycyny, administracji, edukacji i biznesu – mówi prof. Włodzisław Duch

Anita Czupryn



Prof. Duch: Wszystkich zadziwia to, jak szybko AI rozwinęła się w ostatnich kilku latach

POLSKA W EPOCE AI. PROF DUCH: SZANSA JEST, ALE ŚWIAT NIE BĘDZIE CZEKAŁ

z całej Europy bardzo trudno się pisze. Trudno zebrać wszystkie informacje, dopilnować terminów i utrzymać spójność całości. Zresztą, z częścią uwag oceniających się zgadzam; pewnych rzeczy rzeczywiście brakowało, bo projekt był organizowany dość późno. Ale jeśli ma się taką grupę partnerów, i to silnych partnerów z całej Europy, to można ten potencjał wykorzystać przy kolejnych konkursach. Dziś szanse w niektórych programach spadają poniżej 10 proc., więc nie należy się dziwić po-

rażkom. Trzeba po prostu próbować dalej.

Jak się panu podoba projekt polskiej sztucznej inteligencji, Bielik?

W Polsce jest teraz kilka takich projektów. Bielik robi chyba najwięcej szumu, bo ma charakter społecznościowy. Ale projektem wspieranym przez państwo jest przede wszystkim PLluM, tworzony głównie przez ludzi z Wrocławia i Łodzi, a także przez OPI, czyli instytut badawczy podlegający bezpośrednio Ministerstwu

Nauki. To projekt, który ma dziś największą szansę na szerokie zastosowanie w administracji publicznej. Aplikacja mObywatel będzie korzystała z wirtualnego asystenta opartego na PLluM-ie, chatboty w ministerstwach też mają być na nim oparte. Sporo usług dla obywateli, na przykład upraszczanie dokumentów urzędowych czy prawniczych, ma być wspomaganym właśnie w ten sposób. Bielik jest jednak bardzo ważny, bo to inicjatywa oddolna. Wykonano tam ogromną pracę i jestem

pod wrażeniem tego, co udało się zrobić. To również rodzina modeli językowych. Twórcy próbują pokazać, że ich rozwiązania mogą liczyć się w benchmarkach modeli otwartych i zaczynają konkurować z innymi. A trzeba pamiętać, że dużych modeli językowych w Europie jest bardzo mało. Poza francuskim Mistralem, który regularnie pojawia się w ważnych benchmarkach, europejskich modeli w czołówce właściwie prawie nie widać. Bielik ma tu pewną szansę. To bardzo ambitny projekt,

w który zaangażowało się sporo osób. Interesuje się nim także Ministerstwo Cyfryzacji. Twórcy znaleźli też partnerów, m.in. InPost i wsparcie Google Cloud, więc jest szansa, że będzie to dość niezależny projekt rozwijany na większą skalę. A plany są ambitne: kolejne, bardziej zaawansowane wersje Bielika, w tym wersja wielojęzyczna, a także narzędzia do wykrywania zagrożeń, mowy nienawiści i podobnych zjawisk. To naprawdę bardzo ciekawy kierunek.

Panie profeszorko, oglądając pana we wspomnianym filmie usłyszałam, jak powiedział pan, że nadchodzą takie czasy, które będą bardzo sprzyjać temu, by warto było w Polsce pracować i inwestować. Co temu sprzyja akurat teraz?

Przed wszystkim to, że sztuczna inteligencja stwarza dziś bardzo duże możliwości. I nie chodzi o wizję, że nagle pojawi się jakaś superinteligencja AGI, która wszystko za nas załatwi. Raczej o coś odwrotnego: o bardzo konkretne, lokalne zastosowania. Kiedy rozmawiam z firmami, słyszę przede wszystkim: zależy nam na prywatności, na tym, żeby dane nie wyciekały, żeby niezależnie się od chmury, nie chcemy opierać się wyłącznie na wielkich zewnętrznych systemach. Stąd m.in. konkurs firmy Dell, o którym wspominałem. Dziś można kupić superkomputer, który pozwala realizować projekty oparte na modelach językowych mających nawet 200 miliardów parametrów. To już są duże modele. Nasze mają zwykle mniej niż 100 miliardów parametrów, ale dzięki lokalnej mocy obliczeniowej można realizować mnóstwo projektów na miejscu. Poza Bielikiem i PLluM-em rozwija się zresztą kilka innych inicjatyw. Jest np. QRA, tworzona przez Politechnikę Gdańską we współpracy z Ośrodkiem Przetwarzania Informacji Państwowym Instytutem Badawczym. Jest też TRURL, rozwijany przez Voice-Lab.ai, z nimi również współpracowaliśmy. Działa także Polska Platforma Głosowa dla Biznesu i Administracji. Liczyliśmy również na powstanie tzw. fabryk AI, czyli infrastruktury, która pozwalałaby trenować duże systemy i szeroko je udostępniać. To mogłoby wesprzeć wiele sektorów: od energetyki i prawa po biznes i medycynę. Szczególnie liczyliśmy na większe projekty wspierające instytucje medyczne, także w zakresie zbierania i analizy danych. To jednak idzie dość wolno. Problemem są m.in. gwałtowne wzrosty cen pamięci. Do tego stopnia, że część projektów może być zagrożona. Wynegocjowaliśmy dobre ceny, ale zanim ruszyły procedury przetargowe na uniwersytecie, ceny wzro-

sły tak bardzo, że dziś możemy kupić jedną piątą tego, co planowaliśmy.

Od 36 lat zajmuję się pan sztuczną inteligencją. Co dziś najbardziej pana zadziwia w jej rozwoju?

Wszystkich zadziwia to, jak szybko wszystko rozwinęło się w ostatnich kilku latach. Przez długi czas postęp był bardziej stopniowy; mieliśmy systemy ekspertowe, które do pewnych rzeczy się nadawały. Ale nagle pojawienie się systemu, z którym można było po prostu rozmawiać, mam na myśli rozwinętego czata, powiedzmy od wersji GPT-3 wzwyż, i to, że projekty zaczęły być błyskawicznie upowszechniane, było naprawdę zaskakujące. Bardzo szybko okazało się, że jeden czat OpenAI ma setki milionów użytkowników, a dziś skala tygodniowa sięga miliarda; do tego dochodzi kilka innych konkurencyjnych systemów: Gemini, Claude, Grok, Perplexity, Llama, Mistral, DeepSeek. Krótko mówiąc: stało się to masowe. Ludzie zaczęli używać modeli językowych w tak różnych zastosowaniach, że to było pełnym zaskoczeniem. Po pierwsze, nie spodziewaliśmy się, że można osiągnąć aż tyle, w szczególności, że de facto zostanie przekroczona granica kojarzona z testem Turinga. Przez lata opowiadałem studentom na wykładach o Nagrodzie Loebnera, że co roku jest trochę lepiej, ale wciąż ludzie potrafią odróżnić rozmowę z człowiekiem od rozmowy z botem. I nagle, właściwie po cichu, test Turinga przestał być centralnym punktem odniesienia, bo okazało się, że ludzie bardzo często dają się nabrać i sam test stracił dawny sens. Druga rzecz: mniej więcej od półtora roku zaczęły się pojawiać systemy rozumujące w szerokich obszarach, nie tylko w szachach czy w Go, gdzie poziom nadludzki osiągnięto już około dekady temu, ale znacznie szerzej. Nagle okazało się, że jesteśmy w stanie dochodzić do wyników ponadludzkich w wielu dziedzinach. Są też problemy, które po prostu przekraczają możliwości ludzkiego umysłu, jeśli chodzi o ogarnięcie całej złożoności. Na przykład zrozumienie tego, co dzieje się w komórce, gdzie tysiące białek oddziałują ze sobą i współpracują. Procesy biologiczne są tak złożone, liczba typów białek, genów, zależności tak skomplikowane, że bez sztucznej inteligencji daleko byśmy nie zaszli. Widzimy też, że pojawiły się Nagrody Nobla związane z rozwojem sztucznej inteligencji i jej zastosowaniami, z konieczności w fizyce i chemii niż w samej informatyce, gdzie Nagrody Nobla nie można dostać. To również pokazuje skalę zmiany. Tak, że zaszliśmy tak szybko tak daleko

i że dziś mówimy o szansie rozwiązywania najbardziej złożonych problemów matematyki, fizyki, chemii, biologii czy medycyny dzięki takim systemom, to jest dla mnie najbardziej fascynujące. Zresztą organizujemy panel dyskusyjny z Piotrem Sankowskim, Przemkiem Kazienką, Przemkiem Bieckiem i matematykiem Bartoszem Naskręckim. Będziemy rozmawiać o tym, jak nauka zmienia się już teraz pod wpływem AI i jak jeszcze się zmieni.

To jak zmieni się nasza rzeczywistość w perspektywie dwóch-pięciu lat? Jedni straszą, że AI zabierze pracę, inni mówią, że stworzy nowe zawody. Co zabierze, co da i jak praktycznie zmieni nasze życie?

Bardzo trudno odpowiedzieć na to pytanie, bo świetni eksperci mówią rzeczy skrajnie różne. Jedni twierdzą, że AI zabierze nam pracę, inni, że właśnie dzięki niej wejdziemy w bardzo dobry okres, bo dostaniemy narzędzia do rozwiązywania problemów, z którymi sami sobie nie radzimy. Ja obserwuję np. zwolnienia w dużych firmach informatycznych. Cotygodniowe raporty pokazują, że w ostatnim roku niewiele się zmieniło względem poprzednich lat. Była duża korekta po COVID-zie; wtedy firmy zatrudniły zbyt wiele osób, a później część zwolniła, ale od dwóch-trzech lat sytuacja jest dość stabilna. To ciekawe, bo jednocześnie wiele osób uważa, że młodzi programiści zaraz staną się mniej potrzebni, skoro mamy programowanie wspomaganie przez AI, tzw. vibe coding. Tyle że teraz piłka jest po naszej stronie: musimy tak kształcić młodych ludzi, by umieli korzystać z tych narzędzi i robić dzięki nim więcej. Jeśli będą do tego przygotowani, nadal będą potrzebni. Możliwości zastosowania systemów informatycznych szybko rosną i pojawiają się nowe obszary pracy. Owszem, prostsze zadania, np. część prac przy tworzeniu stron internetowych, można dziś zautomatyzować. Ale człowiek wciąż jest potrzebny do zrozumienia rzeczywistego problemu klienta, kontekstu i celu. Można powiedzieć, że powoli przestajemy być murarzami, a stajemy się architektami tych rozwiązań. Architektów potrzeba mniej niż murarzy, ale dzięki nim można zbudować znacznie więcej. Dlatego nie widzę powodu do paniki w skali, w jakiej niektórzy ją dziś podsycają. Zagrożenia oczywiście są realne i jest ich sporo, ale nad ich rozpoznaniem i ograniczeniem również się pracuje.

Film „Poland. Mission Confidence” powstał po to, by zmienić sposób, w jaki Polacy

myślą o sobie i o Polsce. Jak pan to widzi? Czy takie projekty, o których pan mówił na początku rozmowy, mogą być impulsem do zmiany naszego myślenia o kraju, który jest przecież dwudziestą gospodarką świata i mówiąc wprost, ma się czym pochwalić?

Mamy w Polsce duże słabości, bez wątplenia. Widać to choćby w różnych wskaźnikach dotyczących innowacyjności, patentów i podobnych obszarów. Z drugiej strony mamy też bardzo zdolnych ludzi, którzy potrafią robić rzeczy niezwykle. Część z nich, niestety, pracuje za granicą – w dużych firmach, takich jak OpenAI czy Google DeepMind, a nawet współtworzyła niektóre z tych środowisk. Świetną pracę wykonuje dr Maciej Kawecki ze swoim zespołem i podcastami, pokazującymi, że Polak potrafi. Problemem w tym, że te możliwości dość słabo przekładają się na sprawczość administracji państwowej. Ona jest ograniczona na wiele sposobów i po prostu zbyt wolna. Gdybyśmy nie stracili pół roku na biurokrację i przetargi, moglibyśmy kupić za pieniądze, które były już zabezpieczone, całkiem przyzwoity system, bardzo nam potrzebny. Tymczasem świat tak przyspieszył, a popyt na sprzęt i pamięci tak wzrósł, że ceny poszybowały w górę. To pewnie potrwa rok albo dwa, ale skutek jest taki, że jesteśmy opóźnieni.

Problemem nie jest tylko brak pomysłów, ale tempo działania państwa?

Dokładnie. Próbowaliśmy o tym rozmawiać z Ministerstwem Cyfryzacji. Zaprosił nas nawet premier Donald Tusk, jako grupę informatyków działających w komitecie, w którym są osoby z tzw. listy Stanforda 2 proc., czyli grona najczęściej cytowanych naukowców na świecie. Tyle że rząd zdążył już wcześniej rozdysonować środki. I kiedy mówimy, czego naprawdę potrzeba, na przykład dobrych programów doktorskich, to okazuje się, że trudno teraz znaleźć na to pieniądze. Być może pojawiają się w kolejnym rozdaniu środków europejskich, ale znów jesteśmy spóźnieni. W 2018 roku, po apelu Komisji Europejskiej, że AI to technologia strategiczna, wiele krajów bardzo przyspieszyło: tworzone katedry, finansowano zespoły, budowano zaplecze. U nas zrobiono za mało. Straciliśmy poprzednie lata, a w ostatnich dwóch również nie widać przelomu na miarę potrzeb, choć oczywiście sporo rzeczy dzieje się oddolnie. To mnie naprawdę martwi.

Bez zmiany filozofii finansowania trudno będzie zrobić skok?

Tak i to dotyczy również edukacji. Słyszymy o pracownikach AI w szkołach, na które wydaje się duże pieniądze, ale nie widać dobrze opracowanych programów, które pokazywałyby, jak sensownie wykorzystywać te narzędzia na lekcjach różnych przedmiotów. A możliwości są ogromne. Na przykład bardzo dynamicznie rozwija się dziś historia cyfrowa; dzieją się tam naprawdę ciekawe rzeczy, o których wielu nauczycieli i historyków nawet nie wie. I znowu wracamy do tego samego problemu: brakuje ludzi przygotowanych do tego, żeby to ruszyć, przeszkolić nauczycieli, stworzyć materiały, wdrożyć dobre praktyki. W wielu obszarach mamy więc nie tyle brak pomysłów, ile brak kadr zdolnych to popchnąć do przodu.

Ten problem widać też na poziomie uczelni?

Oczywiście. Chirnczy przez lata wysyłał mnóstwo studentów do Stanów Zjednoczonych, a potem ci ludzie wracali i rozkręcał rynek u siebie. Podobnie obserwowałem Portugalię: kraj mniejszy od Polski i pod wieloma względami słabszy, a jednak w tym obszarze rozwija się całkiem dobrze, bo wykonano pewne inwestycje i zbudowano kompetencje. Miałem niedawno okazję otwierać rok akademicki w Akademii Muzycznej w Bydgoszczy i pytałem tam, czy uczą np. takich rzeczy jak muzyka filmowa i zastosowania sztucznej inteligencji w sztuce. Muzyka filmowa to dziś jeden z kluczowych obszarów; produkcja opiera się na zaawansowanych narzędziach elektronicznych, a ich opanowanie wymaga czasu i dobrego wprowadzenia. Tyle że znów wracamy do tego samego: brakuje nauczycieli. Uczelnie często chciałyby rozwijać takie kierunki, ale nie mają kogo do tego postawić. To, co AI robi dziś w obszarze kreatywności artystycznej, muzycznej, wizualnej, ma już konkretne zastosowania rynkowe. Można na tym zarabiać. Do tego dochodzi branża gier, która rozwija się bardzo dobrze, i tam AI wchodzi na dużą skalę. Mieliśmy niedawno w Poznaniu dużą konferencję gamedev, rozwoju gier komputerowych, i było wyraźnie widać, jak wiele jest zastosowań AI do wspomaganie tworzenia i rozwoju gier. To się właśnie zaczyna dziać na szeroką skalę. Krótko mówiąc: możemy mieć szansę w różnych niszowych zastosowaniach, a takich nisz jest bardzo dużo. Duże firmy chcą nam sprzedać własnego awatara czy asystenta, który będzie w każdym telefonie, dlatego budują ogromne centra danych i centra AI do obsługi miliardów użytkowników. Tylko pytanie brzmi: czy my naprawdę tego chcemy?

Wyobraźmy sobie, że jest grudzień 2029 roku, za chwilę wchodzimy w rok 2030. W jakiej jesteś sytuacji? Czy potrafi pan sobie wyobrazić, jak zmienił się nasz telefon, nasza praca, urząd, szkoła?

W 2000 roku przygotowałem taki referat futurologiczny i napisałem, że w połowie tej dekady będzie nam brakowało psychologów od modeli sztucznej inteligencji. I mam wrażenie, że taki zawód właśnie zaczyna się pojawiać. Psychologowie rzeczywiście badają dziś różne aspekty działania dużych modeli językowych, bo dzieją się tam bardzo ciekawe, a czasem dziwne rzeczy. To, co zaczyna się teraz i co w tym roku już zobaczymy, to przede wszystkim inwazja agentów różnego rodzaju. Czyli systemów, które nie tylko odpowiadają na pytania, ale są sprawcze. Możemy im zlecać wykonanie konkretnych zadań po prostu rozmawiając. Ogromne znaczenie będzie miało to, kto nauczy się dobrze z nimi rozmawiać: zadawać precyzyjne pytania, jasno określać kontekst, formułować polecenia. Oczywiście same systemy też będą nas coraz częściej dopytywać, żeby lepiej zrozumieć, o co chodzi. Ale najważniejsze jest to, że w ciągu najbliższych miesięcy zobaczymy agentów, którzy będą w stanie załatwiać za nas naprawdę wiele spraw. Z tym trzeba być bardzo ostrożnym, ale ich sprawczość będzie rosła. Pojawiają się nawet rozwiązania w rodzaju „wynajmij człowieka dla agenta”. Są platformy, do których zgłosiły się setki tysięcy osób gotowych wykonywać zadania, których agent, dopóki nie ma fizycznego ucieleśnienia, nie jest robotem, jeszcze nie potrafi sam zrobić. Bo czasem trzeba gdzieś pójść, coś odebrać, załatwić dokument, zdobyć papier z urzędu, który nie jest jeszcze dobrze z informatyzowany. W Polsce nadal są obszary administracji czy sądownictwa, które nie działają cyfrowo w takim stopniu, jakiego byśmy oczekiwali. Pojawiają się więc firmy, które mówią: dobrze, damy państwu sprawczą sztuczną inteligencję, ale tam, gdzie są luki, będziemy dopinać proces człowiekiem.

A więc jednak, na szczęście, człowiek pozostaje niezbędny. Choć często w roli bardziej wykonawczej niż zarządzającej. Oczywiście po drugiej stronie nadal jest też człowiek, który takim agentem zarządza albo go nadzoruje. Ale ten model agent plus człowiek tam, gdzie trzeba, będzie się rozwijał na dużą skalę. Nasz telefon nie będzie już tylko doradzał. Coraz częściej będzie też w stanie, na podstawie naszych poleceń, dopro-

wadzać do wykonania różnych rzeczy także w świecie fizycznym.

Wchodzimy w etap, w którym AI zacznie wychodzić z ekranu?

Dokładnie. Bardzo szybko rozwija się robotyka. Było to widać choćby przy ostatnich pokazach związanych z Chińskim Nowym Rokiem. Mieliśmy też niedawno spotkanie poświęcone AI, podczas którego oglądaliśmy kilka robotów; przyjechały m.in. z Nowego Sącza, z Rzeszowa, z Politechniki Rzeszowskiej. To naprawdę zaczyna się rozwijać. Te roboty nie są już skrajnie drogie, choć oczywiście nadal kosztują sporo. Bardziej zaawansowane modele to duży wydatek. Ale sam fakt, że stają się dostępne, jest bardzo istotny. Zaczyna się era tego, co można nazwać fizyczną implementacją sztucznej inteligencji, czyli wykorzystaniem AI na większą skalę w urządzeniach fizycznych. I to będziemy widzieć coraz wyraźniej.

A co to będzie oznaczało dla zwykłych użytkowników?

Między innymi to, że pojawi się cała fala nowych urządzeń konsumenckich. Słychać już, że z Chin nadchodzi seria zabawek wyposażonych w modele językowe. I tu pojawia się sporo zagrożeń. Musimy bardzo uważać, co takie systemy będą z nami robiły i czy będziemy wystarczająco asertywni, żeby nie ulegać różnym formom manipulacji, które mogą pojawić się na dużą skalę. To będzie jeden z najważniejszych problemów najbliższych lat: nie tylko, co AI potrafi, ale też jak my jako użytkownicy i społeczeństwo, nauczymy się z nią mądrze obchodzić.

CV



Włodzisław Duch

Profesor nauk fizycznych specjalizujący się w informatyce stosowanej, neuroinformatyce, sztucznej inteligencji, uczeniu maszynowym, kognitywistyce i neurokognitywnych technologiach. Jest kierownikiem Laboratorium Neurokognitywnego w Interdyscyplinarnym Centrum Nowoczesnych Technologii UMK w Toruniu.

AGRESYWNE DZIECKO W PRZEDSZKOLU. RODZICE: POMOCY!

- To dziecko jest agresywne wobec innych, ale i samo wymaga pomocy. Ze strony przedszkola słyszymy, że ma ono związane ręce, bo chłopiec nie został zdiagnozowany. Naprawdę nic nie da się zrobić? Pomóżcie!
- prosi pan Tomasz w imieniu rodziców z Osieka nad Wisłą koło Torunia

Małgorzata Oberlan

Osiek nad Wisłą to małowniczo położona miejscowość w gminie Obrowo koło Torunia. Tu miejscowi od lat mieszają się z mieszczuchami, chętnie tutaj się osiedlającymi. Najmłodsze dzieci uczęszczają do samorządowego przedszkola, będącego częścią Zespołu Szkół. - I naprawę samo przedszkole jest dobre, a nauczycielki oddane swojej pracy. Teraz jednak dzieją się rzeczy, z którymi one same nie mogą już sobie poradzić. Na jednym z zebrań usłyszeliśmy, że i one się boją, np. tego, że to agresywne dziecko chwyci za nożyczki i dojdzie do poważnego nieszczęścia. Na razie dziecko „tylko” uderza czy szarpie inne dzieci - relacjonuje pan Tomasz (nazwisko do wiad.red.).

Jego córka ostatnio została poszarpana przez wspomniane agresywne dziecko. Teraz codziennie rano płacze i jak inne dzieci boi się chodzić do przedszkola. - Problem ciągnie się od miesięcy. Teraz petycję do dyrekcji przedszkola podpisało liczne grono rodziców z naszej grupy - podkreśla pan Tomasz.

„Biega, szarpie, uderza”

Celowo nie zdradzamy wieku i płci dziecka ani żadnych innych szczegółów. Nikt nie chce go naznaczyć, a sami rodzice z Osieka podkreślają, że i ono ewidentnie potrzebuje pomocy. - Od września, z przerwami na absencje (liczne i długie zresztą), to dziecko sprawia poważne problemy. Gdy już na zajęcia przychodzi, to nie panuje nad swoim zachowaniem. Biega po sali, stosuje przemoc wobec innych. Było uderzanie, było chwytnie za ramiona i szarpanie. Od pań nauczycielek dowiedzieliśmy

się, że i one bywały kopane i bite - mówi pan Tomasz.

Rodzice zgłaszali problem nauczycielkom i dyrekcji przedszkola. Byli na specjalnym zebraniu. Zapewne pójdą też na to najbliższe, o którym dowiadujemy się teraz od dyrektorki zespołu szkół. Ostatnio jednak czara goryczy się przelała (kolejne akty agresji), więc postanowili sprawę nagłośnić w mediach. Skierowali też do dyrekcji petycję w zdecydowanym tonie.

- Nie robilibyśmy tego wszystkiego, gdyby nie ta niemoc. Ze strony przedszkola słyszeliśmy, że „ma związane ręce”. Dlaczego? Bo dziecko nie zostało zdiagnozowane; jego rodzice „nie współpracują w tym zakresie”. A brak diagnozy i odpowiedniego orzeczenia z poradni oznacza, że przedszkole nie może np. zatrudnić nauczyciela wspomagającego - relacjonuje pan Tomasz.

Tu wyjaśnijmy od razu, że zadaniem takiego nauczyciela w przedszkolu jest praca z dziećmi z niepełnosprawnościami lub niedostosowaniami bądź zagrożeniami niedostosowaniem społecznym. Nie prowadzi on samodzielnie zajęć, lecz wspiera innych nauczycieli i pomaga dziecku realizować program nauczania, dostosowując formy i metody do możliwości psychofizycznych dziecka. Generalnie pracuje w placówkach oświatowych, do których uczęszczają dzieci z potrzebą kształcenia specjalnego, a więc w szkołach i przedszkolach integracyjnych lub z oddziałami integracyjnymi. Ale może też pracować w szkołach i przedszkolach ogólnodostępnych, jeżeli są tam dzieci wymagające pomocy specjalisty. Ale najpierw ten specjalista musi się na temat dziecka

kim dzieciom. Obecna sytuacja powoduje niepokój wśród dzieci i rodziców oraz wymaga podjęcia konkretnych i skutecznych działań organizacyjnych” - wskazują rodzice z Osieka. I w petycji twardo domagają się: przedstawienia informacji, jakie działania dotąd podjęto w tej sprawie przedszkole oraz wdrożenia natychmiastowych środków zapobiegających kolejnym incydentom przemocy. Jakich konkretnie? Wymieniam „wzmocniony nadzór nad dzieckiem i wzmocnienie kadrowe lub inne adekwatne rozwiązania”. Rodzice oczekują też przekazania im na piśmie informacji o zaplanowanych działaniach.

Procedury uruchomione

Co na to wszystko przedszkole w Osieku nad Wisłą? Nie mogliśmy się dowiedzieć przez tydzień. Ponowiliśmy zapytanie mailem, dzwoniśmy. Pytania proste: „Jak Pani Dyrektorka widzi sytuację? Co można zrobić? Co już zrobiło Przedszkole?” Wreszcie dowiedzieliśmy od dyrektorki przedszkola, że „nie jest upoważniona do udzielenia informacji” i uczyni to dyrektorka zespołu szkół. A także, że „przedszkole nie wolno udzielać informacji o konkretnym dziecku”. Po tygodniu udało nam się porozmawiać z Katarzyną Wachowską, dyrektorką Zespołu Szkół w Osieku nad Wisłą. Kieruje nim od ponad 20 lat, ma duże doświadczenie zawodowe. Ciekawe obserwacje, bo na przestrzeni tych lat wiele się zmieniło - nie tylko w edukacji, ale także życiu społecznym, postawie rodziców, problemach dzieci. - Kontaktowałam się z naszym inspektorem danych osobowych i nie wolno mi udzielić żadnych informacji na temat tego konkretnie dziecka - powiedziała nam pani dyrektor, zaznaczając, że „co do zasady” może jednak odpowiedzieć na pytanie o to, co może zrobić w każdej tego typu sytuacji placówka. „Ale bardzo ogólnie” - zaznaczyła Katarzyna Wachowska. Zapewniła też, że

wszystkie procedury zostały już uruchomione, a jeszcze w tym tygodniu osobiście na specjalnym zebraniu spotka się z rodzicami. I nie będzie to tzw. zebranie konfrontacyjne. Ma się odbyć bez udziału rodziców wskazanego dziecka. Po to, by nie eskalować emocji i nie doprowadzić do sytuacji ataku grupy na jednostkę.

Po tej rozmowie otrzymaliśmy też od dyrektor Wachowskiej maila. „W nawiązaniu do rozmowy telefonicznej przekazuję informację dotyczącą procedur, jakimi się kierujemy udzielając różnorakiego wsparcia naszym wychowanków. 1. Wychowawca grupy prowadzi obserwację pedagogiczną swoich wychowanków zapisując wyniki w arkuszach. 2. Na bieżąco dostosowuje metody i formy pracy, które konsultuje z innymi nauczycielami, psychologiem, pedagogiem specjalnym. 3. Systematycznie spotyka się z rodzicami na spotkaniach grupowych i indywidualnych w zależności od potrzeb, omawiając wyniki obserwacji i proponując dostosowane do sytuacji rozwiązania. 4. O wynikach obserwacji, kierunkach rozwoju i potrzebach wsparcia rodzice są informowani na bieżąco. 5. W zależności od potrzeb, dziecko w zgodą rodzica jest objęte w przedszkolu zajęciami terapeutycznymi, np. zajęciami logopedycznymi. 6. Jeśli działania przedszkola są niewystarczające, wychowawca sugeruje rodzicom udanie się do poradni psychologiczno-pedagogicznej lub lekarzy specjalistów. (...)”

Tyle ze strony dyrekcji.

Nauczyciel wspomagający

Zasady zatrudniania nauczycieli wspomagających, ich kompetencje, wymagane kwalifikacje - to osobny, szeroki temat. I kontrowersji od dawna przy jego okazji w Polsce nie brakuje, a dotyczą choćby tego, jak gruntownie przygotowany winien być do tej roli. Problemem jest też nierzadko nieznamość

jego roli i „bronienie się” przed jego zatrudnieniem.

Generalnie w oddziałach integracyjnych (szkolnych, przedszkolnych) obecność nauczyciela wspomagającego jest rozwiązaniem systemowym. W szkołach ogólnodostępnych natomiast zatrudnienie tego specjalisty wynika z zaleceń zawartych w orzeczeniu o potrzebie kształcenia specjalnego. W praktyce coraz częściej nauczyciel wspomagający pracuje z uczniami z zaburzeniami ze spektrum autyzmu (ale - nie tylko).

Orzeczenie o potrzebie kształcenia specjalnego to formalny dokument, który wydaje poradnia psychologiczno-pedagogiczna. Określa, jakie wsparcie edukacyjne oraz terapeutyczne jest niezbędne dla dziecka, które ma specjalne potrzeby. Stanowi podstawę do dostosowania warunków kształcenia i wychowania w placówce edukacyjnej do indywidualnych potrzeb dziecka, niezależnie od tego, czy uczęszcza ono do przedszkola, szkoły masowej, integracyjnej czy specjalnej. Wymagane jest przede wszystkim przed rozpoczęciem nauki w przedszkolu lub szkole, zwłaszcza w przypadku dzieci z poważnymi trudnościami rozwojowymi. „Ważne jest, aby uzyskać je jak najwcześniej, gdyż umożliwi to placówce dostosowanie warunków nauki oraz form pomocy już od pierwszych dni pobytu dziecka w przedszkolu lub szkole” - podkreślają specjaliści.

Problem powszechny

Co się wydarzy w Osieku nad Wisłą? Czy dzieci przestaną się bać chodzić do przedszkola? Rodzice będą pewni ich bezpieczeństwa? Niepanujące nad sobą dziecko uzyska profesjonalne wsparcie?

- Rzuciliśmy wszystkie ręce na pokład i wszystkie siły ku temu, by zapewnić bezpieczeństwo wszystkim dzieciom w przedszkolu - zapewniła nas w rozmowie dyrektor Katarzyna Wachowska.

Problemy z dziećmi wymagającymi specjalnego wsparcia - a najpierw diagnozy - są dziś powszechne. I różnie bywają rozwiązywane. Czasem jednak to nie profesjonalizm zwycięża, ale silne ludzkie emocje. - Agresywny chłopiec bijący innych, ewidentnie sam też potrzebujący pomocy, z naszego przedszkola ostatnio został zabrany przez rodziców i przeniesiony. Pamiętam tego kaca moralnego, którego jak przynajmniej połowa rodziców po wszystkim mieliśmy. Człowiek w obronie bezpieczeństwa swojego dziecka, wiadomo, chce jak najlepiej. Los tamtego dziecka jakoś umknął w tym wszystkim. Wychowująca go samotnie matka pod presją zabrała go z placówki; wsparcia dla niego tutaj nie dostała - wspominają rodzice z Torunia, których dziecko uczęszczało do publicznej placówki w centrum miasta. ©©

wypowiedzieć, wydać stosowne orzeczenie i zalecenia...

Bezpieczeństwo dzieci

„My, niżej podpisani rodzice z grupy (tu: nazwa) zwracamy się z prośbą o pilną interwencję w związku z powtarzającymi się sytuacjami zagrażającymi bezpieczeństwu dzieci w grupie” - tak zaczyna się petycja, którą przygotowali rodzice.

Dalej piszą, że już przed feriami zimowymi dochodziło do incydentów agresji fizycznej ze strony tego dziecka. Dzieci już wtedy były uderzane. Ale 17 lutego ponownie doszło do niebezpiecznych sytuacji - tego jednego dnia uderzonych zostało troje dzieci.

„Rozumiemy potrzebę wsparcia dziecka oraz jego rodziny. Jednak nadrzędnym obowiązkiem placówki jest zapewnienie bezpieczeństwa wszystkim



Coraz powszechniejszy problem - agresywne dziecko w grupie przedszkolaków

SAFE znaczy tyle co „bezpieczny”, „bezpieczeństwo”. Pochodzi od pierwszych liter nazwy programu Security Action for Europe. To po prostu nowy unijny instrument finansowy wymyślony i stworzony do tego, by szybko można było zwiększyć możliwości obronne państw Unii Europejskiej. Co ważne - pierwszym powodem uruchomienia SAFE jest zaspokojenie głodu środków finansowych w obecnych czasach z przeznaczeniem na zakup systemów obronnych. A te w obecnych warunkach geopolitycznych znacząco podrożały, co wynika oczywiście ze wzrostu cen na surowce, ale także i zerwanych łańcuchów dostaw. Choć działania wojenne toczą się za naszą wschodnią granicą, to ma to ogromny wpływ na niemal cały świat i wiele branż przemysłowych.

Drugim powodem jest pomoc we wzmocnieniu europejskiej bazy technologiczno-przemysłowej - stąd promowanie zakupów przez członków UE właśnie w UE (oraz w państwach włączonych do instrumentu, m.in. EOG/EFTA i Ukrainie). Co ważne, mechanizm przewiduje ścieżki wyjątków oraz możliwość dopuszczania państw trzecich poprzez dodatkowe porozumienia - przykładem jest decyzja Rady dotycząca umowy z Kanadą.

Jaka jest skala programu SAFE?

Chodzi o nawet 150 mld euro w formie konkurencyjnie oprocentowanych, długoterminowych pożyczek finansowanych emisją długu UE. To ważna rzecz, podnoszona bowiem przez niektórych sceptyków, a nawet przeciwników - że SAFE to nie dotacja, ale pożyczka. Za to na korzystny procent - bo rzędu 3 proc. rocznie, z długim okresem karencji. Przez pierwsze 10 lat nie będziemy spłacać kapitału, tylko odsetki, a maksymalny okres spłaty to 45 lat. Co ciekawe, spłaty nie będą finansowane z tej części budżetu, która przeznaczona jest na obronność - zapewniał o tym minister finansów Andrzej Domański.

Sceptycy i przeciwnicy SAFE wskazują, że Niemcy nie biorą kredytów na zakupy broni w tym programie. Ale odpowiedź na ten problem jest prosta - jako państwo mają wyższy (AAA) rating finansowy niż my (S&P i Fitch: A-; A2 Moody's), a to oznacza, że mogą zadłużyć się na korzystniejszych warunkach. Warto nadmienić, że w programie biorą udział m.in. Francja, Włochy, Rumunia, Litwa, Słowacja czy Czechy.

Już chyba każdy wie, że Polska została - przynajmniej na tę chwilę - największym beneficjentem SAFE. Mowa o kwocie ok. 43,734 mld euro (powszechnie wszyscy mówią 43,7 mld euro - ponad 180 mld złotych).

PROGRAM SAFE. BIERZEMY CZY ODRZUCAMY?

W piątek Sejm ma przyjąć ustawę wdrażającą program SAFE. Czy Karol Nawrocki podpisze ustawę i z pieniędzy SAFE będą mogły skorzystać polskie siły zbrojne? I przede wszystkim nasz przemysł - bo większość pieniędzy ma zostać wydana w Polsce

David Kamizela, Robert Szulc



Srodki z programu SAFE mają być wydane między innymi na Kraby, które tak dobrze sprawdziły się w walkach na Ukrainie, a także na Borsuki i osławione Pioruny

Rząd komunikuje, że SAFE ma wspierać nie tylko wojsko, ale też Policję i Straż Graniczną. Wiceszef Ministerstwa Aktywów Państwowych Konrad Gołota - oraz m.in. szef MON i premier Donald Tusk - wielokrotnie zapewniali, że ponad 80 proc. tych środków ma trafić do polskiego przemysłu obronnego.

Co i od kogo chcemy kupić z SAFE?

Mało kto powtarza fakt, że to Wojsko Polskie, a nie politycy, przygotowało listę projektów, na które miałyby zostać pożyczone pieniądze z SAFE. Przypomnijmy, że są ograniczenia geograficzne wydatkowania środków - w kontraktach zasadniczo do 35 proc. kosztu komponentów może pochodzić spoza UE/ Ukrainy/ Europejskiego Obszaru Gospodarczego (Norwegia, Islandia, Liechtenstein).

Trzeba zaznaczyć, że tylko prosta broń jest produkowana wyłącznie przez jeden zakład. Złożone systemy uzbrojenia są zazwyczaj montowane z części dostarczanych przez wielu wykonawców, państwowych, prywatnych; bywa, że z różnych

państw - USA czy z Azji. Niektóre z nich produkowane są w Polsce na licencji, inne dostarczane już w gotowej formie, a montaż odbywa się w zakładach tzw. integratora. Stąd brak w SAFE kategorycznego sformułowania „produkt w 100 proc. z UE”.

Co konkretnie chcemy kupić? Szczegółowa lista jest wciąż tajna, bo jak powtarzała wiele razy Magdalena Sobkowiak-Czarnecka, pełnomocniczka rządu ds. programu SAFE, taki dokument byłby prezentem dla wroga, bo obnaża nasze słabe punkty i wskazuje, na jakich polach Wojsko Polskie powinno zostać wzmocnione. Co ciekawe - do listy ma dostęp całkiem spora liczba urzędników oraz polityków - nawet z grona opozycyjnych klubów (członków parlamentarnych komisji obrony), którzy podnoszą argument, że chcemy pieniądze z unijnego programu wydać w niemieckich firmach zbrojeniowych.

Od Borsuka do tankowców

Niektóre projekty polskiego SAFE były już wymieniane - choćby przez premiera Donalda

Tuska, który wspominał, że 20 mld zł ma dostać Huta Stalowa Wola. A to tu właśnie zostaną zamówione kolejne bojowe wozy piechoty Borsuk. To najnowszy nasz wóz dla piechoty, który ma zastąpić przestarzałe już posowieckie „bewupy” i zapewnić żołnierzom osłonę, mobilność oraz siłę ognia dostosowaną do współczesnego pola walki. Co warto zauważyć - Borsuk to warte zauważenia - Borsuk to wóz pływający, może pokonywać przeszkody wodne „z marszu”. Konstrukcję oparto na nowoczesnym podwoziu gąsienicowym, z modułowym opancerzeniem i systemami obserwacji oraz łączności. Standardem jest bezzałogowa wieża ZSSW-30, uzbrojona w armatę automatyczną kal. 30 mm, sprzężony karabin maszynowy i przeciwpancerne pociski kierowane, co pozwala zwalczać piechotę, cele lekko opancerzone i wozy bojowe.

Mówi się także o zakupach samobieżnej armatohaubicy KRAB kalibru 155 mm dla Wojsk Lądowych. Także z Huty Stalowa Wola. To podstawowy system artylerii lufowej dalekiego zasięgu. Osadzona jest na pod-

woziu gąsienicowym i korzysta ze standardu NATO 155 mm/52, co umożliwi użycie szerokiej gamy amunicji. Krab działa w ramach dywizjonowego modułu ogniowego „Regina” i jest zintegrowany z systemami kierowania ogniem oraz łączności, dzięki czemu może szybko przyjąć dane o celu, oddać salwę i odjechać na inne stanowisko (tatyka „shoot-and-scoot”). Zapewnia dużą siłę rażenia, wsparcie dla wojsk manewrowych oraz zdolność zwalczania celów na dystansach rzędu kilkudziesięciu kilometrów, zależnie od użytej amunicji - tej 155 mm, na którą także zapewne wydamy pieniądze z SAFE.

Safe posłuży zapewne do zakupów dronów obserwacyjnych FlyEye. To bezzałogowy statek powietrzny klasy mini (produkowany przez Grupę WB), używany do rozpoznania i obserwacji. System jest lekki, przenośny - wypuścić go może żołnierz po prostu „z ręki”. To dron wielorazowy, lądowanie odbywa się w sposób bezpieczny dla pilota. FlyEye ma w głowicy kamerę dzienną i termowizyjną, wykrywa i śledzi cele niezależnie od pory dnia. Dostarcza obraz i dane w czasie rzeczywistym, wspierając m.in. artylerię, rozpoznanie i ochronę zgrupowań wojsk. Nasze wojsko ma tę stale ulepszaną konstrukcję od 2010 r., używają jej także Ukraińcy (na Ukrainie jest także tajna ich fabryka).

Oczywiście możemy także kupić sprzęt od innych europejskich państw - ciekawą opcją może być lekki, dwusilnikowy śmigłowiec wielozadaniowy Airbus Helicopters w wersji wojskowej - H145M. To maszyna do zadań transportowych, ewakuacji medycznej, wsparcia sił specjalnych, łączności i rozpoznania. Dzięki nowoczesnej awionice (m.in. pakiet Helionix) i automatyzacji lotu może działać w trudnych warunkach pogodowych oraz w nocy. Jest modułowa - łatwo konfiguruje się ją pod konkretne role, a w wariantach bojowym może korzystać z systemu uzbrojenia HForce (np. karabiny, niekierowane rakietki, zasobniki z pociskami itp.). Wojskowy śmigłowiec jest składany w Niemczech, ale może zawierać systemy produkowane m.in. we Francji, Japonii, USA, Belgii, Kanadzie.

Od dawna nasza armia marzy o powietrznych tankowcach. Naszym wyborem z SAFE będzie zapewne Airbus A330 MRTT - wielozadaniowy samolot wsparcia, oparty na pasażerskim A330, przystosowany do tankowania w powietrzu oraz transportu. Może przekazywać paliwo innym samolotom za pomocą przewodu giętkiego z koszem (hose-and-drogue) oraz - w wybranych konfiguracjach - sztywnego wysięgnika (boom). Może także przewozić ludzi, ładunki i może zostać szybko skonfigurowany do funkcji ewakuacji medycznej (MEDEVAC) i po-

wietrznego szpitala. Duży zapas paliwa i daleki zasięg zwiększa autonomię działań lotnictwa, wydłuża czas dyżurów bojowych - a to umożliwia „projekcję siły” na duże odległości. Jest produkowany we Francji i Hiszpanii.

To oczywiście nie jedyne planowane zakupy. Na słynnej już i tajnej liście znajdują się z pewnością także inne systemy uzbrojenia produkowane w Polsce i za granicą. Choćby elementy do systemu obrony powietrznej SAN. No i nie zapominajmy o jeszcze jednym aspekcie - inne państwa UE będą chciały także kupić pewne systemy uzbrojenia w Polsce. Można zgadywać, że chodzi choćby o sprawdzony w walkach na Ukrainie Pioruna.

SAFE oczywiście zostało zdominowane przez zakupy dla wojska, ale na programie chcą także skorzystać służby podległe MSWiA - chodzi o Straż Graniczną, Policję, Służbę Ochrony Państwa. Warto zauważyć, że SG to formacja, która na pierwszej linii dziś strzeże wschodniej flanki NATO. Policja, SG i SOP przygotowały projekty na ok. 1,5-1,7 mld euro. Wskazywane są takie cele: drony i systemy antydronowe systemy wzmocnienia ochrony wschodniej granicy (w tym rozwiązania teleinformatyczne / nadzoru) statki powietrzne (w praktyce wymienia się m.in. śmigłowce) łodzie (dla działań na wodzie i ochrony granicy) transportery opancerzone / pojazdy specjalne - do działań kontrterrorystycznych broń i amunicja ochrona balistyczna i wyposażenie funkcjonariuszy (np. kamizelki, osłony) łączność i infrastruktura łączności / bazy danych.

Co robi prezydent?

O decyzji prezydenta dowiemy się już niedługo. Na razie środowiska opozycyjne ustwiają się w kontrze do zamierów rządu. Podnoszą takie argumenty jak to, że Polska odwraca się od największego sojusznika, (USA), a zwraca ku państwom, które chcą na nas tylko zarobić, a nie słuchały przestroż, że prowadzenie interesów z Moskwą skończy się wojną. Niektórzy podnoszą mechanizm „warunkowości” zawarty w unijnych aktach SAFE, inni to, że to Unia Europejska będzie decydować o kształcie polskich sił zbrojnych. Pewne są jednak trzy rzeczy - po pierwsze SAFE to nie jedyna szansa na pieniądze na uzbrojenia dla Polski, po drugie - i tak będziemy kupować dla wojska sprzęt w USA i Korei Południowej i zapewne w innych państwach poza UE, a po trzecie - bez względu na różne przeszkody nie zapomnimy o konieczności rozwoju własnych sił zbrojnych, bo już chyba nikt nie da się nabrać na to, że na świecie może zapanować pokój.

Ruchu lotniczego nie można zatrzymać, dlatego w pracy Wojciecha Zawady nie ma pauzy. Decyzje podejmuje w sekundach, a odległości mierzy w milach i stopach. Gdy pasażerowie zapinają pasy i zamykają oczy, ktoś na wieży właśnie oblicza prędkość samolotu, drogę i czas. I podejmuje decyzje, od których zależą bezpieczny start i lądowanie.

Jolanta Tęcza-Ćwierz

95 PROC. NUDY, 5 PROC. MAKSYMALNEJ KONCENTRACJI. KULISY PRACY KONTROLERA RUCHU LOTNICZEGO, KTÓRY PILNUJE NIEBA NAD KRAKOWEM



W pracy Wojciecha Zawady nie ma pauzy

Ile samolotów może w danym momencie znajdować się w przestrzeni powietrznej w Polsce, w Europie, na świecie?

Aplikacja Flightradar24 pokazuje, że na świecie w ciągu doby śledzonych jest około 230 tysięcy samolotów. W Europie to około 20 tysięcy dziennie, a w polskiej przestrzeni powietrznej wczoraj obsłużyliśmy około dwóch tysięcy lotów. Przy czym dane dla Europy i Polski dotyczą tylko lotów

komercyjnych. Najkrócej mówiąc: w chwili, kiedy rozmawiamy, w powietrzu jest około 50 samolotów, których miejscem startu lub celem jest Kraków.

Dlaczego, mimo tak dużej liczby samolotów w powietrzu, prawie nigdy nie dochodzi do kolizji?

Lotnictwo jest bardzo ściśle uregulowane i to jest klucz do bezpieczeństwa. Te regulacje, niestety, często „pisane

były krwią”. Historia wypadków lotniczych nauczyła nas, jak pracować lepiej, dlatego dziś latanie jest tak bezpieczne. Mamy rozwinięte systemy bezpieczeństwa i wymiany informacji. Globalnie jesteśmy skomunikowani w ramach różnych instytucji i organizacji, więc każde zdarzenie, czy to w Stanach Zjednoczonych, czy w Australii, jest szczegółowo analizowane, a wnioski trafiają do wszystkich. Dzięki temu możemy

wprowadzać dodatkowe zabezpieczenia i bariery. Bardzo ważna jest też tzw. kultura bezpieczeństwa - nie karzemy za zgłaszanie błędów czy zagrożeń. Wręcz przeciwnie: zależy nam, by zgłoszeń było jak najwięcej. System raportowania i analizy działa tak, żeby wychwycić potencjalne problemy, zanim dojdzie do tragedii. Pracuje nad tym duży, profesjonalny zespół ludzi, i to pozwala nam stale podnosić poziom bezpieczeństwa.

Jakie odległości między samolotami muszą być zachowane w przestrzeni powietrznej?

To zależy od rodzaju przestrzeni powietrznej, sposobu pracy kontrolerów i dostępnych narzędzi. W uproszczeniu: w wyższych warstwach przestrzeni, mniej więcej od około 3 km nad ziemią w górę, gdzie ruch prowadzony jest w oparciu o zobrazenie radarowe, standardowa separacja to 5 mil w poziomie (ok. 10 km) albo 1000 stóp w pionie (ok. 300 m). Podobnie jest na zbliżaniu. Może się wydawać, że 10 km to bardzo dużo, ale samoloty lecą z prędkością nawet 900-1000 km/h. Jeśli dwa lecą naprzeciw siebie, ich prędkości się sumują - względnie to prawie 2000 km/h. Wtedy te 10 km przestaje wyglądać na ogromny dystans. Im mniejsze prędkości, tym separacje mogą być mniejsze. Wieża kontroluje przestrzeń położoną najniżej - do około 2-3 tysięcy stóp (czyli mniej więcej do 1 km nad ziemią) w rejonie kilkudziesięciu kilometrów wokół lotniska. W końcowych i początkowych fazach lotu samoloty lecą wolniej, około 250-300 km/h, więc można stosować zmniejszone separacje, również wzrokowe. Na lotnisku obowiązuje zasada, że na jednym pasie startowym może odbywać się jednocześnie tylko jedna operacja startu albo lądowania. Lotnictwo jest specyficzne, bo jako jedyny środek transportu porusza się w trzech wymiarach. Oprócz kierunków prawo-lewo mamy jeszcze góra-dół. I jest jeszcze jedna różnica: samolotu nie da się zatrzymać w miejscu. Gdyby miał prędkość zero, po prostu by spadł. Dlatego ruchu lotniczego nie można zatrzymać, musimy podejmować decyzje bez przerwy, na każdym etapie.

A co, jeśli samolot nagle zniknie z radarów?

W Polsce mamy bardzo dobre pokrycie radarowe, więc to rzadkie sytuacje. Na wieży nie jest to duży problem, ponieważ kontrolę sprawujemy przede wszystkim w oparciu o wzrokową obserwację pola manewrowego i bezpośredniego sąsiedztwa lotniska. Ponadto, w naszej przestrzeni powietrznej, samoloty latają na niskich wysokościach i czasem po prostu wylatują poza zasięg radaru. Większe wyzwanie powoduje to dla kontrolerów zbliżania czy obszaru, bo dla nich zobrazenie radarowe to podstawowe narzędzie pracy. Takie sytuacje mogą spowodować pojawienie się kilku siwych włosów, ale jesteśmy na nie przygotowani. Pamiętajmy, że cały czas utrzymujemy łączność radiową z załogą. W chwili gdyby samolot zniknął z radaru, pierwsza reakcja jest prosta: kontroler sięga po mikrofon i próbuje na-

wiązać kontakt. Czasem to tylko kwestia systemu, a z samolotem wszystko jest w porządku. Gorzej, kiedy nikt nam nie odpowiada po drugiej stronie słuchawki. To już dużo bardziej skomplikowana sytuacja. Proceduralnie jesteśmy na to przygotowani, ale psychicznie na takie momenty nigdy nie da się przygotować w pełni.

Miał pan taką sytuację?

Na szczęście nie. Najtrudniejsze doświadczenie, jakie miałem, to awaria silnika w jednym z samolotów, ale kontakt z załogą był wówczas zachowany. Wszystko działo się bardzo szybko, więc nie było nawet czasu, żeby nadmiernie się stresować. Lotnictwo jest bardzo bezpiecznym środkiem transportu i warto to podkreślać. Niesprawny samolot nie wystartuje: są mechanicy i technicy, którzy potrafią wstrzymać odlot nawet na „kilka minut” przed startem, jeśli coś budzi wątpliwości. Piloci również dbają o to, by lecieć sprawną maszyną. My, kontrolerzy, pilnujemy, żeby systemy, także zapasowe, działały bez zarzutu. To bardzo złożony organizm, ale dobrze funkcjonujący. Każdego dnia pracujemy nad tym, by latanie było bezpieczne.

Jakie sytuacje podnoszą ciśnienie kontrolerom ruchu lotniczego?

Takie sytuacje zdarzają się jedynie co jakiś czas. To nie tylko awarie, ale też zwykłe sytuacje ruchowe, kiedy okazuje się, że nasza decyzja nie była optymalna. A decyzje podejmujemy bez przerwy. Jeśli ktoś nie jest najlepszy, trzeba ją natychmiast skorygować kolejną, a czasem jeszcze następną. Te momenty, kiedy trzeba szybko naprawić sytuację, są jednymi z trudniejszych w naszej pracy. Oczywiście są też zdarzenia anormalne i awaryjne. Sam miałem taki przypadek. To był jednosilnikowy samolot. Nagle okazało się, że doszło do awarii tego jedynego silnika. Samolot w jednej chwili „stał się” szymbowcem i to tuż nad pasem. Trzeba było natychmiast zarządzić całą sytuacją ruchową. W takich momentach działa jednak cały nasz zespół. Procedury uruchamiane są od razu - asystent wdraża odpowiednie działania, senior wspiera, każdy wie, co ma robić. Wszystko potoczyło się tak, jak powinno. I dobrze się skończyło.

Które lotniska i jakie sytuacje są najtrudniejsze z punktu widzenia kontroli ruchu lotniczego?

Wpływa na to wiele czynników. Podstawą jest infrastruktura i wyposażenie: jaki mamy pas startowy, drogi kołowania, systemy na lotnisku. To fundament naszej pracy. Drugim czynnikiem jest liczba operacji.

Wraz z jej wzrostem rośnie liczba potencjalnych konfliktów i to dynamicznie. Przy dwóch samolotach mamy jeden możliwy konflikt, przy sześciu czy ośmiu sytuacja komplikuje się dużo bardziej. W Krakowie sporym wyzwaniem jest zróżnicowanie ruchu. Pasażerowie widzą głównie duże samoloty rejsowe, ale mamy też małe lotnictwo, pilotów szkolących się w okolicznych ośrodkach. Do tego dochodzi obecność 8. Bazy Lotnictwa Transportowego w Balicach. Lotnictwo wojskowe działa według innych zasad niż rejsowe. To bardzo ciekawe, ale wymaga od nas sporej elastyczności. Na szczęście to również wyjątkowi profesjonaliści.

Jaki moment w pana karierze był największym wyzwaniem?

Ogromnym wyzwaniem było objęcie funkcji kierownika działu kontroli lotniska w Krakowie i być nim do dziś, szczególnie w sytuacjach kryzysowych. W ubiegłym roku mieliśmy poważne zdarzenie na lotnisku, a ja byłem wtedy za granicą. Z perspektywy kontrolera człowiek skupia się na samej sytuacji: pomagamy, uruchamiamy służbę alarmową, przekazujemy sprawę odpowiednim służbom i wracamy do pracy. Jako kierownik odpowiadam jednak za coś znacznie więcej - za koordynację całego procesu i przywrócenie normalnego funkcjonowania lotniska. Kiedy samolot wypadł z pasa, lotnisko było zamknięte przez kilkanaście godzin. Tymczasem część samolotów była już w powietrzu, inne w drodze, kolejne gotowe do startu. Trzeba było to wszystko poukładać, skoordynować wiele instytucji i komórek, które wspólnie tworzą ten skomplikowany organizm, jakim jest lotnictwo. Tego nie uczą nawet najlepsze szkolenia menedżerskie, nie ma prostego przepisu na sytuację, gdy samolot wypada z pasa. Na szczęście to nie jest praca jednej osoby. Za wszystkim stoi sztab ludzi, którzy wspólnie biorą za to odpowiedzialność.

Jaki jest największy stereotyp na temat pracy kontrolera ruchu lotniczego?

Bardzo często nasz zawód jest tak postrzegany, jakbyśmy każdą swoją decyzją niemal w ostatniej sekundzie ratowali statki powietrzne, a każde lądowanie czy start to wręcz kwestia szczęścia. Absolutnie nie. Jak wspominałem, nasza praca to przede wszystkim procedury i powtarzalność. Wszystko jest uporządkowane, zaplanowane i odbywa się według ściśle określonych zasad. Powtarzalność buduje bezpieczeństwo.

Skąd więc potrzeba pokazywania waszej pracy w przery-



Mamy rozwinięte systemy bezpieczeństwa i wymiany informacji. Globalnie jesteśmy skomunikowani w ramach różnych instytucji i organizacji

sowany sposób, jak w filmach „Szklana pułapka” albo „Czy leci z nami pilot?”?

W filmach wszystko jest podkręcone do granic możliwości. Sam często oglądam filmy o lotnictwie i bardzo je lubię. Myślę, że nawet jeśli tłumaczymy, jak bezpieczne jest latanie i jak wiele mamy procedur, to dla wielu osób wciąż jest w tym coś magicznego. Sam fakt, że tak ogromna i ciężka maszyna wznosi się w powietrzu, budzi emocje. Do tego dochodzi aura tajemnicy i prestiżu wokół tego zawodu. To sprawia, że takie historie dobrze się ogląda, nawet jeśli z rzeczywistością mają niewiele wspólnego.

Jak wygląda dzień pracy kontrolera ruchu lotniczego?

Zwyczaj się mówi, że nasza praca to 95 proc. nudy i 5 proc. maksymalnej koncentracji. Praktycznie na każdym dyżurze trafia się choć jedna sytuacja atypowa. Zwłaszcza na krakowskim lotnisku, gdzie w ostatnim czasie ruch bardzo wzrósł - notując nawet 88 proc. operacji więcej dzień do dnia w porównaniu z przedpandemicznym rokiem 2019, co obecnie przekłada się na około trzysta operacji dziennie. To ogromny przeskok i zarządzanie ruchem o takim natężeniu naturalnie wiąże się ze stresem. Zwykły dzień zaczynam od odpawy. W specjalnym systemie mamy zebrane informacje potrzebne do przygotowania się do pełnienia służby. Zapoznawamy się z sytuacją w przestrzeni powietrznej, dostępnością urządzeń, planowa-

nymi oblotami i lotami technicznymi. Sprawdzamy też prognozę pogody i warunki atmosferyczne. Pracujemy w systemie zmianowym: na stanowisku można siedzieć maksymalnie dwie godziny, potem obowiązkowa przerwa i powrót na kolejne dwie godziny. Na wieży w Krakowie są cztery stanowiska: kontroler tower, odpowiedzialny za przestrzeń powietrzną i drogę startową; kontroler ground, odpowiedzialny za ruch naziemny; asystent/delivery, który wydaje zezwolenia na lot i wspiera pozostałych kontrolerów; oraz senior kontroler, odpowiedzialny za całą zmianę. Przekazanie stanowiska odbywa się płynnie, pod bieżącym ruchem - samoloty przecięć nie mogą się zatrzymać na ten czas. Chodzi o to, by przekazać wszystkie najważniejsze informacje krótko, konkretnie i zgodnie z procedurami - bo procedury to podstawa naszej pracy. Po przejściu stanowiska zapewniamy służbę kontroli ruchu lotniczego, a także służbę informacji powietrznej i alarmową.

Ile trwa dyżur?

Siedem i pół godziny.

Jakie umiejętności są niezbędne, by bezpiecznie kierować ruchem w powietrzu?

Najważniejsza jest umiejętność szybkiego podejmowania decyzji. Bez tego nie da się pracować na tym stanowisku. Decyzja nie zawsze musi być idealna, ale musi zostać podjęta. W sytuacjach niestandardowych trzeba na bieżąco wymy-

ślić rozwiązanie i zareagować. Jeśli nie będzie ono optymalne, za chwilę korygujemy je kolejną decyzją. W lotnictwie przyszłość liczy się w sekundach. To musi być najlepsza możliwa decyzja w danym momencie, a ewentualne konsekwencje rozwiązujemy później. Bardzo ważna jest też odporność na stres, ale tego można się nauczyć. Pomaga życie poza pracą, bliscy, pasje. Swoją pracę opieram mocno na matematyce, fizyce i analizie. Cały czas kalkuluję prędkość, drogę i czas. Muszę wiedzieć, gdzie samolot będzie za chwilę, ile przestrzeni potrzebuje i jak to się ma do innych maszyn. Czy zdąży wystartować? Czy mamy wystarczającą separację? Czy trzeba kogoś opóźnić? To wszystko to czysta matematyka.

Poczucie humoru też się przydaje?

Zdecydowanie tak. Choć mamy dość specyficzne poczucie humoru, ale to pewnie jeden ze sposobów radzenia sobie ze stresem.

Czy to prawda, że gdyby nie lot z Krakowa do Bukaresztu i jedna rozmowa w dziekanacie, dziś rozmawialibyśmy z prawnikiem, a nie z kontrolerem ruchu lotniczego?

Tak, rzeczywiście wszystko zaczęło się od mojego pierwszego lotu samolotem. Z tej podróży przywiozłem magazyn pokładowy Polskich Linii Lotniczych LOT „Kaleidoscope” i przez długi czas z ogromnym zainteresowaniem zgłębiałem flotę samolo-

tową, analizując specyfikację poszczególnych maszyn. Nie planowałem jednak drogi zawodowej związanej z lotnictwem - miałem zostać prawnikiem. A decyzję o wyborze kierunku studiów w pewnym sensie podjęła za mnie... pani w dziekanacie. Kiedy poszedłem złożyć dokumenty na prawo, wspominałem, że dostałem się też na inny kierunek, na który aplikowałem spontanicznie i w tajemnicy przed wszystkimi. Gdy pani usłyszała, że przyjęto mnie do Debłina, bez wahania przesunęła dokumenty w moją stronę i powiedziała, że bym je zabrał i wykorzystał swoją szansę. Posłuchałem jej. Zabrałem dokumenty i w ten sposób nie zostałem prawnikiem.

Jak długo pracuje pan jako kontroler ruchu lotniczego?

Od lipca 2020 roku. Niedługo minie sześć lat. Wcześniej, przez rok pracowałem pod nadzorem instruktorów jako praktykant-kontroler ruchu lotniczego.

Odpowiedzialność za życie tysięcy pasażerów nie jest dla pana obciążająca?

Nie chcę upraszczać, mówiąc, że samoloty to tylko „kropki na radarze”, ale w pewnym sensie to trochę tak wygląda, dla nas to operacja. Boeing 737 musi wykonać operację lądowania, a Airbus A320 właśnie wykonuje operację startu. W pracy mamy dostęp do wsparcia psychologicznego, szczególnie po trudnych zdarzeniach. W razie potrzeby nie

zostajemy z tym sami. Bezpieczeństwo operacji jest naszym priorytetem.

Ile osób potrzeba, żeby jeden samolot wystartował i bezpiecznie doleciał na miejsce?

Omówmy to na przykładzie lotu z Krakowa do Gdańska. Na krakowskim lotnisku samolot będzie w kontakcie z co najmniej dwoma kontrolerami. Po starcie przejmują go kontrolerzy zbliżania - znów minimum dwie osoby. Następnie przelot przez dwa-trzy sektory obszaru i kolejne sześć osób, bo w każdym sektorze pracuje para kontrolerów. Przed lądowaniem znów zbliżanie - dwie osoby, i wreszcie wieża w Gdańsku - kolejne dwie. W sumie daje to minimum czternastu kontrolerów. Oczywiście liczba ta zależy od pory dnia, natężenia i złożoności ruchu. Warto dodać, że to kontrolerzy podejmują decyzje i wydają instrukcje. Poza sytuacjami awaryjnymi pilot nie może wykonać żadnego manewru bez naszej zgody. To my mówimy, kiedy ma zniżać, wznosić się, skręcać i o ile stopni. Ale za nami stoi też duże zaplecze operacyjne, cały sztab ludzi, którzy dbają o to, by system działał sprawnie.

Czy wiedza o tym, co dzieje się w powietrzu, może pomóc w pokonaniu lęku przed lataniem?

Mam nadzieję, że tak. Nasza praca jest bardzo usystematyzowana i uregulowana. Na większość sytuacji mamy procedury, jesteśmy stale szkoleni i monitorowani. Kompetencje są regularnie weryfikowane. To wszystko sprawia, że lotnictwo jest wyjątkowo bezpieczne. Warto też podkreślić, że zanim ktoś obejmie stanowisko kontrolera ruchu lotniczego, przechodzi bardzo złożony i wieloetapowy proces rekrutacji. Potem szkoli się w naszym ośrodku, a to nie koniec - regularnie przechodzimy szkolenia odświeżające, egzaminy, kontrole wiedzy i ocenę kompetencji. Cały czas jesteśmy sprawdzani i przygotowywani również na sytuacje awaryjne. Szkolenie w tym zawodzie trwa przez całą karierę. Jeśli chodzi o lęk przed lataniem, trzeba pamiętać, że statystycznie najbardziej ryzykowny moment podróży samolotem to... dojazd na lotnisko. Znacznie większe prawdopodobieństwo wypadku wiąże się z jazdą samochodem niż z samym lotem. Nie mówię tego z pychą, to nie jest tak, że „zrobiliśmy swoje i jest idealnie”. Cały czas pracujemy nad tym, by poziom bezpieczeństwa był jak najwyższy.

Gdy wychodzi pan z pracy, nadal patrzy pan w niebo?

Oczywiście, nie mogę się powstrzymać. Kocham lotnictwo i kocham samoloty.

JULIA PIETRUCHA: MOJE AKTORSKIE MECHANIZMY DOPIERO SIĘ ROZGRZEWAJĄ

Od dekady jest z nami jako wokalistka, wykonując urocze piosenki o alternatywnym tonie. Teraz zobaczymy ją jednak znowu na dużym ekranie – we wchodzącym dziś do kin filmie „Pojedynek”. Nam Julia Pietrucha opowiada, czy ma sentyment do serialu „Blondynka”, który niegdyś przyniósł jej wielką popularność

Parwł Gzyl

Za sprawą filmu „Pojedynek” wracasz po niemal dziesięciu latach przerwy do aktorstwa. Jak do tego doszło?

Stało się to dosyć niespodziewanie, ponieważ nie planowałam tego powrotu świadomie. Zajmowałam się muzyką i to wypełniało mój grafik. Los jednak spletał mi niespodziankę. Po tych dziesięciu latach przerwy dostałam telefon i zaproszenie do tego projektu. Przyjęłam je, długo się nie zastanawiając, bo było bardzo miłe i konkretne. Uznałam, że to dobry moment, bo spłotło się to w czasie z moją czasową dostępnością.

Podczas naszej poprzedniej rozmowy, mówiłaś: „Założyłam, że jeśli trafi mi się historia, która mnie poruszy, to zdecyduję się wrócić”. Co cię poruszyło w „Pojedynku”?
Przede wszystkim bardzo dobrze napisany scenariusz. Ale też rola, która została mi powierzona – polskiej pilotki i spadochroniarki Janiny Lewandowskiej, która była jedyną kobietą osadzoną w obozie w Kozielsku w 1939 roku. Ważny też był rozmach, z jakim planowano nakręcić ten film, świetna obsada i reżyser Łukasz Palkowski, z którym już wcześniej się spotkałam. Uwierzyłam, że warto wziąć udział w tym projekcie, tym bardziej że zamysł mojego występu pojawił się już na wczesnym jego etapie, co było dla mnie bardzo nobilitujące.

Jak się poczułaś, kiedy znowu znalazłaś się na filmowym planie?

Od początku towarzyszyła mi radość i ekscytacja. Kręciliśmy w twierdzy Modlin, działo się to pod koniec maja czy na początku czerwca, było więc ciepło. Scenografia obozowa została już wybudowana, a aktorzy pojawili się w swych filmowych kostiumach. Przeniosłam się więc momentalnie w końcówkę lat 30. minionego wieku. Wejście w ten świat było dla mnie niezwykle ekscytujące.

Jesteś w „Pojedynku” jedyną kobietą w męskim towarzystwie. Czulaś się wyjątkowo?
Skupiłam się głównie na tym, jak czuła się moja bohaterka. Kiedy pojawia się w obozie, próbuje ukryć swą tożsamość i płeć pod mundurem i czapką. Niestety – niemal od razu zostaje zdemaskowana. Wtedy powstaje wokół niej ochronny pancierz, tworzony przez mężczyzn, którzy się nią opiekują, ale którymi ona również się opiekuje na swój sposób. Nieprzypadkowo była przecież nazywana „Matką Boską Kozielską”. Jest więc też swego rodzaju symbolem jako jedyna kobieta w obozie.

Twoi koledzy-aktorzy też otoczyli cię taką opieką na planie?
Na pewno czułam takie wsparcie. Tym bardziej że miałam dziesięć lat przerwy i moje aktorskie mechanizmy nie były jeszcze rozgrzane. Byłam więc przez nich dopingowana i otwarcie okazywano mi wsparcie. To mi na pewno pomogło, nie dorzuciło dodatkowego stresu, tylko sprawiło, że mogłam w aurze braterskości zanurzyć się w tym wojennym

świecie. Mogę więc chyba powiedzieć, iż stworzyliśmy prywatnie fajną grupę.

Pracowałaś wśród samych gwiazd polskiego kina, a twoim najbliższym partnerem był Jakub Gierszał. Była między wami ta przysłowiowa „chemia”?

Poznałam Kubę jakieś osiemnaście lat temu. On kręcił wtedy swój debiutancki film „Wszystko, co kocham” na Helu, a ja w tym samym miejscu „Miasto z morza”. Nasze ekipy się wówczas spotkały. Wkrótce potem jego film miał premierę i przyjęło go z wielkim entuzjazmem. W kolejnych latach obserwowałam karierę Kubę i marzyło mi się, żeby spotkać się z nim kiedyś na planie. Nie powie-działam tego na głos – ale ostatecznie się spełniło. Było to dla mnie bardzo nobilitujące i ciekawe doświadczenie, bo mogłam podpatrzeć jak on i jego znakomici koledzy pracują, jak budują swe role, czy potrzebują kontaktu z drugim aktorem czy raczej wolą to robić samemu. Każdy z nich trochę inaczej do tego podchodzi, a do tego Łukasz Palkowski miał dużą dozę otwartości na improwizację i uważnie słuchał aktorów. To też było ciekawe: niby scena była napisana, ale mogła się wywrócić i być inaczej zagrana. Bardzo mi się to podobało, bo uwielbiam w muzyce improwizować na scenie. Okazało się, że w filmie też tak można.

Wcielasz się w autentyczną postać – pilotkę i spadochro-

niarkę Janinę Lewandowską, która była jedyną kobietą, jaka zginęła w Katyniu. Szukałaś informacji o swej bohaterce w historycznych źródłach?

Staralam się poczytać, ile mogłam. Choćby o obozie w Kozielsku, aby wczuć się w tę aurę. Ale dla Łukasza ważne było, że nie opowiadamy tej historii jeden do jednego. Te autentyczne postaci są punktami wyjścia dla bohaterów, których chcieliśmy stworzyć na ekranie. Dlatego nawet nie jestem fizycznie podobna do kreowanej przeze mnie postaci. Trochę było to współczesne i na swój sposób autorskie.

No właśnie: w scenariuszu Lewandowską jest pokazana jako silna i niezależna kobieta, równie odważna jak jej koledzy-żołnierze. Spodobał ci się taki rys tej postaci?

Bardzo. Myślę, że to też zdecydowało o tym, by wziąć udział w tym projekcie i wrócić do filmu. Janina Lewandowska bardzo mi imponowała – wydawało się wręcz nieprawdopodobne, że w latach 30. była pilotką i spadochroniarką. To jednak pokazuje, że w dwudziestoleciu międzywojennym było wiele odważnych kobiet, które żyły po swojemu. Do tego były o wiele mniej pruderne niż są teraz. Cieszę się więc, że mogłam się wcielić w taką wyjątkową postać.

Janina Lewandowska była przed wojną w szkole muzycznej i planowała karierę śpiewaczki. Dzięki temu i ty mogłaś zaśpiewać w filmie.

To prawda. Zaśpiewałam piękny utwór Hanki Ordonówny „Miłość ci wszystko wybaczy”. Generalnie muzyka i kino lat 30. są mi bardzo bliskie. Mam obejrzone chyba wszystkie filmy z Eugeniuszem Bodo, łącznie z tymi, z których zachowały się tylko fragmenty.

Ta scena, kiedy za twoim przykładem oficerowie śpiewają „Miłość ci wszystko wybaczy”, jest bardzo wzruszająca. Też ją tak odebrałaś?

Nie chcę tu zdradzać fabuły, ale śpiewając ten utwór ratuję głównego bohatera od przymusu, przed którym zostaje postawiony przez sowieckiego komendanta obozu. Za mną odzywają się głosy wszystkich oficerów znajdujących się w baraku. To symbol jedności, która trzymała tych więźniów razem i wolności, którą w sobie mieli, a która sprawiła, że mogli stawić opór najeźdźcy. W ten sposób zmanifestowali swoje pochodzenie i swoją polskość. Jest to też nawiązanie do filmów z lat 30., kiedy fabuła często była przełamwana przez niespodziewane wykonania piosenek. To też zgrabnie zostało wplecione w nasz film.

Z drugiej strony masz też scenę gwałtu, która dla każdej aktorki na pewno jest wielkim wyzwaniem. Jak sobie z nią poradziłaś?

Tego rodzaju sceny są zazwyczaj bardziej szczegółowo przygotowane pod kątem bezpieczeństwa i komfortu aktorów niż inne, dlatego paradoksalnie są mniej stresujące. Wszystko jest dokładnie zaplanowane, każdy ruch jest ustalony, nie ma tu miejsca na improwizację. Niemalże tuż obok kamery stoi koordynator scen intymnych i gdyby coś działo się nie tak, można od razu reagować. W efekcie sekwencja ta wygląda bardziej dramatycznie niż była w rzeczywistości. Dla mnie najbardziej wymagające były sceny, w których liczył się przede wszystkim przepływ energii i emocji. Budowanie na tych elementach, okazało się dla mnie, powracającej do aktorstwa po długiej przerwie, znacznie większym wyzwaniem.

Twoja bohaterka stawia opór kuszeniu ze strony sowieckiego systemu. Zadawałaś sobie pytanie: co ja bym zrobiła na jej miejscu?

Nie jestem tego typu osobą, która zadaje sobie takie pytania. Bo wiem, że ostatecznie nie mamy zielonego pojęcia jakbyśmy się zachowali w takiej sytuacji. Mam rodzinę, bliskich, o których trzeba zadbać – trudno więc przewidzieć jakbym postąpiła. I chyba nie chciałabym się nad tym zastanawiać. Jeśli kiedyś przyjdzie się zmierzyć z taką sytuacją, to

wtedy będę reagować i odpowiem sobie na to pytanie.

„Pojedynek” nie potępia jednoznacznie tych oficerów, którzy wybrali kolaborację. Można ich zrozumieć?

Film nie skupia się na tym. Jest tam scena, w której widać jak jeden z oficerów zgadza się na kolaborację i nie zostaje to dobrze przyjęte przez jego kolegów. „Pojedynek” opowiada przede wszystkim o tym, do czego takie manipulacje prowadzą i jak bliski jest nam to temat również dzisiaj. Walka dobra ze złem, wolność ze zniewoleniem, jest obecna na każdym kroku. I to jest najważniejsze przesłanie tego filmu.

Sama postać sowieckiego komendanta obozu Wasilija Zarubina nie jest też jednoznaczna.

To prawda. Pokazujemy choćby jego wrażliwość na muzykę. To czyni go bardziej ludzkim dla widzów. On też jest pod presją dowództwa i tak naprawdę chce do końca pomóc polskiemu oficerowi, którego muzyczny talent podziwiał. I jak to odbiera?

Największą nutę nadziei wnosi syn Zarubina. W symboliczny sposób reżyser chce za pomocą tej postaci pokazać, że między nami a Rosjanami może kiedyś pojawi się możliwość porozumienia.

Zgadza się. Dziecko jest czystą istotą, która jeszcze nie jest naznaczona piętnem wojny, nie ma świadomości co jest czarne, a co białe. Zaprzyjaźnia się więc z polskimi oficerami.

„Pojedynek” stał się zaczynem twojego kolejnego projektu – serialu „Langer”, w którym ponownie spotkałaś się z Jakubem Gierszałem. To przypadek?

Chyba producenci stwierdzili, że nie można nas rozdzielać. (śmiech)

Jak się odnalazłaś w opowieści sensacyjnej, osadzonej we współczesnej scenarii?

To było trudne zadanie. Większość fabuły opierała się na mojej bohaterce i jej relacji z seryjnym mordercą. Mnogość emocjonalnych stanów i warstw tej postaci, łączyła czasem bardzo kontrastujące ze sobą elementy. Musiałam wchodzić w skrajne emocje – i było to dla mnie duże wyzwanie. Żeby potrafić oddzielić własne odczucia i myśli od tego, co musiałam zagrać na planie. Bo to przecież nie ja miałam odczuwać ciarki, tylko widz przed ekranem. Spotkałam się potem ze skrajnymi ocenami tego serialu i mojej roli. Był to bowiem niełatwy materiał, z którym trzeba było się zmierzyć. Ale cieszę się, że podjęłam tę próbę i wyszłam poza strefę swojego komfortu,



FOT. JAROSŁAW SOSIŃSKI/MATPRAS.

Julia Pietrucha: Skupiłam się głównie na tym, jak czuła się moja bohaterka. Kiedy pojawia się w obozie, próbuje ukryć swą tożsamość i pleć pod mundurem i czapką. Niestety – niemal od razu zostaje zdemaskowana

bo było to po prostu bardzo ciekawe doświadczenie.

Będiesz teraz chciała dalej grać?

Tak, jeśli pojawią się propozycje, w których będę się widziała i będzie to ze mną spójne. Moje aktorskie mechanizmy dopiero się rozgrzewają. Ktoś zapytał mnie, czy to jest tak, jak z jazdą na rowerze - po przerwie wsiadasz na niego i po prostu jedziesz. Niestety - to nie takie proste. Patrząc na to, jak wiele wspaniałych filmów i kreacji pojawia się teraz w polskim kinie, mam jednak motywację do tego, żeby pracować i rozwijać się.

Jesteś gotowa chodzić na castingi i walczyć o role?

Ja nigdy tego tak nie postrzegałam. (śmiej) Jestem raczej człowiekiem, który pragnie się dogadywać i porozumiewać, a nie walczyć. Film to taki rodzaj sztuki, w której niby aktor tworzy swoją kreację sam, ale w sumie jest to wspólne dzieło. I zawsze tej wspólnoty wypatruję. Kiedy byłam na jakimś castingu i potem ktoś inny został obsadzony zamiast mnie, to miałam poczucie, że po prostu ta osoba bardziej pasuje do tego projektu. Czy będę więc dalej grała? Myślę, że tak - jeśli ktoś będzie mnie widział w danej roli i jeśli ja

się będę w niej widziała. Na pewno jednak nie czuję w sobie zacięcia, aby walczyć o role, bo mam swój muzyczny świat, którym żyję na co dzień.

Co daje ci aktorstwo, czego nie daje ci muzyka?

Aktorstwo to wychodzenie poza strefę komfortu. To coś, z czym muszę się zmierzyć. Chcę więc grać chyba po to, by trochę utrudnić sobie życie. (śmiej)

Zaczynałaś jako dziecko równoległe od śpiewania i grania w Teatrze Syrena. Dlaczego, wchodząc w dorosłe życie, postawiłaś na aktorstwo?

Ponieważ od razu po występie w teatrze, pojawiły się propozycje filmowe i serialowe. Skorzystałam więc z nadarzającej się okazji. (śmiej) Śpiew pozostał jednak nadal moją wielką pasją. I może dobrze, że tak się potoczyło, bo mogłam poczekać na moment, kiedy potrafiłam stworzyć bardziej dojrzałą wypowiedź muzyczną. Nie wydawać płytę w wieku piętnastu lat, tylko wtedy, kiedy wiedziałam co i jak chcę powiedzieć. Myślę więc, że miało to wszystko duży sens.

Zaczęłaś od telewizji w serialach „Na Wspólnej” i „Kochaj mnie, Kochaj”. Spodobało ci się w tym aktorskim świecie?

Jako dziecko byłam bardzo nim zafascynowana. Mogłam poznać wspaniałych aktorów, współpracować z nimi, no i urwać się z lekcji. (śmiej) Miałam jednak zawsze mocny kręgosłup moralny i etos pracy, ważne było więc dla mnie, by dobrze przygotować się do roli i uczyć się od najlepszych. Aktorstwo dawało mi to wszystko, mimo że był to świat dorosłych, który funkcjonował dla mnie równoległe z moim światem szkolnym.

W 2007 roku dostałaś nagrodę na festiwalu w Gdyni za „Jutro idziemy do kina”. Miałaś wówczas zaledwie osiemnaście lat. Uwierzyłaś wtedy w siebie jako aktorkę?

Pamiętam, gdy byłam na pokazie premierowym tego filmu na festiwalu w Gdyni, ku mojemu przerażeniu, kiedy pojawiałam się na ekranie i wypowiadałam swe teksty, cała sala się śmiała. Działo się tak, ponieważ moja postać była tak słodka i urocza w swej niewinności, ja jednak myślałam, że to dlatego, iż kiepsko ją zagrałam. Chciałam się więc wtedy zapisać pod ziemię. Byłam przekonana, że to po prostu moja wielka kłapa. Chwilę później okazało się jednak, że dostałam za tę rolę nagrodę, więc kompletnie nie wiedziałam co tu się dzieje. (śmiej) Cóż:

byłam jeszcze dzieckiem i czułam się totalnie zdezorientowana. Mimo że byłam dojrzała jak na swój wiek, nigdy nie zdobyłam przekonania, że świetnie sobie radzę w tym aktorskim świecie. Do dziś nie mam takiego uczucia, raczej próbuję i szukam swojej drogi. Biorę udział w różnych projektach, ale to muzyka jest moim przeznaczeniem. Wiem to, od kiedy usłyszałam po raz pierwszy, jak moja babcia gra na akordeonie. Zapragnęłam wtedy śpiewać - i to na scenie czuję się do dziś najlepiej.

Rodzice czy starsza siostra wspierali cię w tej twojej nastoletniej przygodzie z aktorstwem?

Pewnie. Byli obecni i wspierali mnie bardzo. To sprawiało, że bardzo chciałam grać w teatrze i w filmie. Kiedy trafiłam na scenę w wieku jedenastu lat i dostałam trudne do zaśpiewania utwory, przełamalam swój stres i nie wycofałam się. Fascynowało mnie to i wchodziłam w kolejne projekty.

Powszechną rozpoznawalność przyniosł ci serial „Blondynka”. Masz sentyment do roli Sylwii Kubus?

Mam sentyment do tego, jak ten serial był odebrany. Do dziś spotykam się z komentarzami, że ludzie oglą-

dali go dla mnie. To uznanie widzów i branży było dla mnie na tamten moment ważne i piękne. W końcu niby pracuje się dla siebie, ale przecież też i dla swych odbiorców. Ucieszyło mnie, że ktoś to poczuł i zrozumiał. Przy „Blondynce” wytworzyła się wokół mnie ogólnopolska sympatia i do dziś zdarza się, że ktoś po koncercie zaczepia mnie i mówi, że przyszedł na mój występ, bo znał mnie z „Blondynki”, a wcześniej nie wiedział, że śpiewam.

Myślisz, że ta serialowa popularność pomogła ci zaistnieć jako wokalistce?

Myślę, że z jednej strony ważne było to, iż niektórzy kojarzyli mnie z moich ról, a z drugiej - że weszłam z czymś zupełnie nowym. Do tego niektórzy mogli myśleć, że moje śpiewanie to będzie piosenka aktorska, a okazało się, że to w swej istocie alternatywny materiał. Jakakolwiek nie byłaby to motywacja, cieszę się, że tak dużo osób za mną podążyło i weszło w ten mój nowy świat.

Wydanie twojej debiutanckiej płyty „Parsley” w 2016 roku było dla ciebie tak potężnym emocjonalnie przeżyciem, że to dlatego machnęłaś wtedy ręką na aktorstwo?

Podjęłam decyzję o rezygnacji z aktorstwa wcześniej. Wyje-

chałam wtedy na sześć miesięcy do Azji i przemierzałam ją z plecakiem na motocyklu. To dodało mi na tyle odwagi, że po powrocie postanowiłam pokazać swoje piosenki światu i wydałam „Parsley”. Nie spodziewałam się oczywiście, że spotka się ona z tak dobrym przyjęciem i będę mogła żyć z muzyki. Tymczasem tuż po jej wydaniu udało mi się zagrać całą trasę koncertową - i to z dwukrotnym wyprzedaniem warszawskiej „Stodoły” na czele. Nie miałam wtedy aktorskich obowiązków i mogłam w pełni zaangażować się w muzyczne działania.

Teraz wracasz do „Parsley” podczas jubileuszowej trasy po Polsce. Jak zabrzmiała historia sprzed dekady, opowiedziana na nowo?

Równie słonecznie i uroczo, bo uważam, że utwory są nadal aktualne i ważne, dobrze się je śpiewa. Przez te dziesięć lat rozwinęłam się muzycznie, więc zabrzmia trochę inaczej i chcę to zaznaczyć podczas tej trasy. Może trochę glam popowo? Nadal będą miały jednak ten hawajski sznyt, ciepły i organiczny ton. Dodam im nieco energii, ale takie ballady, jak „We Care So Much”, nadal będą w oryginalnej formie, tylko zostaną wyrażone przy użyciu innych środków. Duch będzie jednak ten sam. Jeśli ktoś będzie go chciał poczuć ponownie po tych dziesięciu latach, to jest ten odpowiedni moment, by się na tę trasę wybrać.

W jakim miejscu jesteś jako wokalistka po tych dziesięciu latach od debiutu?

Na pewno cały czas mam radość ze śpiewania, tworzenia muzyki, bycia na scenie i obcowania z ludźmi. To mi sprawia ogromną przyjemność. Czasem ktoś mnie pyta: „Jak ty tak możesz co weekend jeździć po Polsce? Dopiero byłaś we Wrocławiu, a już jedziesz do Gdańska. Jak możesz tak żyć?”. Wtedy odpowiadam: „To dla mnie wspaniałe. Ja po prostu to kocham”. (śmiej) Nie dopadło mnie bowiem zgnuszenie, a to przecież zawsze może się wydarzyć. A to dlatego, że chroniałam swój muzyczny świat, aby był jak najbardziej mój, zgodny z tym, co aktualnie czuję. To powoduje, że ciągle jestem autentyczną artystką. Wiadomo - trochę się zmieniłam, bo pracowałam ze świetnymi muzykami i producentami, spotkałam mnóstwo artystów i poobserwowałam, jak oni tworzą. Najważniejsze jednak, że nadal kocham muzykę i to się nie zmieniło. Mam nadzieję, że za następne dziesięć będę nadal w tym świecie działać po swojemu.

Tomasz Bocheński, dyrektor artystyczny Polska Press Grupy, z 31 nagrodami w międzynarodowym konkursie European Newspaper Award

Jury najważniejszego europejskiego konkursu grafiki European Newspaper Award ponownie doceniło prace Tomasza Bocheńskiego, dyrektora artystycznego Polska Press Grupy. W 27. edycji konkursu otrzymał 31 nagród w kilku kategoriach. European Newspaper Award to najbardziej prestiżowa nagroda graficzna branży medialnej w Europie. Tomasz Bocheński po raz kolejny znalazł się wśród jej laureatów, rok temu jury uhonorowało 19 jego prac.

W tym roku międzynarodowe jury otrzymało kilka tysięcy prac z 22 krajów Europy. Spośród nich 11-osobowe międzynarodowe jury wyłoniło zwycięzców.

Laureatem po raz kolejny został Tomasz Bocheński, dyrektor artystyczny Polska Press Grupy, nagrodzono 31 jego prac, w tym okładki w m.in. kategoriach wydarzeniowych: 80 rocznica zakończenia II wojny światowej, czy wybór papieża.

W jury konkursu zasiadali dziennikarze, naukowcy i dyrektorzy artystyczni z Austrii, Szwecji, Danii, Finlandii, Holandii, Portugalii, Szwajcarii i Niemiec. Docenili prace Tomasza Bocheńskiego tworzone dla „Głosu Wielkopolskiego”, „Dziennika Łódzkiego”, „Dziennika Zachodniego”, „NTO” oraz „Polski Metropolii Warszawskiej”, a także wiele okładek magazynu Puls, który w każdy piątek ukazuje się we wszystkich tytułach Polska Press Grupy.

Polska Press to duża firma multimedialna z najważniejszymi serwisami internetowymi w największych polskich miastach. Na tym koncentrujemy naszą działalność. Ale nasze brandy to brandy historyczne, najbardziej prestiżowe w regionach, które swoją wartość budują od kilkudziesięciu lat, a zaczynały w papierze. Wciąż wydajemy gazety codzienne w regionach, bo wciąż są Czytelnicy, którzy cenią sobie taką formę przekazywania

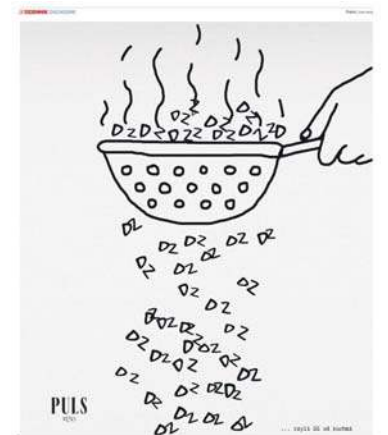
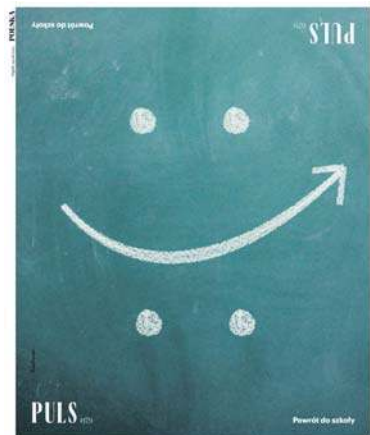
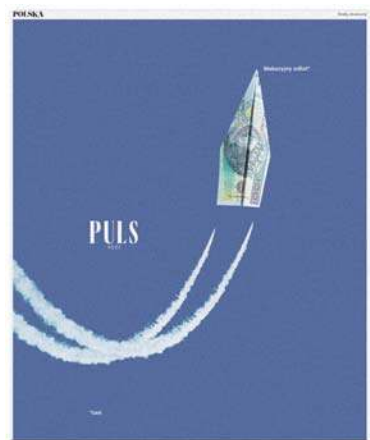
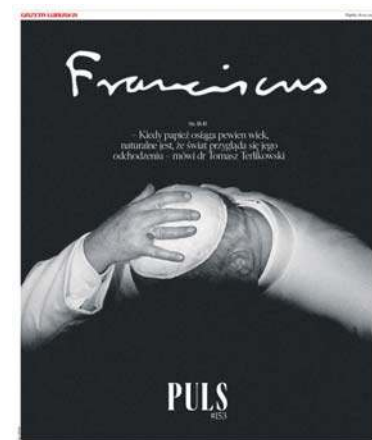
treści. I dla nich zachowujemy najwyższą jakość - także graficzną. Tomasz Bocheński, nasz dyrektor artystyczny, to znakomity symbol połączenia tradycji z innowacjami. Wygrywa konkursy na okładki prasowe, ale jednocześnie na graficzne rozwiązania multimedialne. Taka jest właśnie Polska Press - mówi Marek Twaróg, redaktor naczelny Polska Press Grupy.

Tomasz Bocheński kreuje i współtworzy projekty graficzne gazet, projekty prasowe, projekty online od wielu lat. Wielokrotnie zdobywał najbardziej prestiżowe nagrody w konkursach w Polsce i na świecie, zarówno za prace związane z prasą, jak i projektami internetowymi. W dorobku ma kilkadziesiąt nagród m.in. Grand-Front oraz Chimera Grand Prix, a także zwyciężał w konkursach międzynarodowych: European Newspaper Award oraz Best of News Design - The Society for News Design w USA.

Istotą dobrej okładki prasowej nie jest to, żeby ładnie wyglądała. W moich pracach istotą jest symbolika - czyta, mocna i uniwersalna. Taka, która pozwala Czytelnikowi odczytać całe znaczenie w ułamku sekundy, jeszcze zanim w ogóle otworzy pismo. Bardzo często nie używam na okładce prawie żadnego tekstu - czasami ani jednego słowa. Daję Czytelnikowi obraz, kolor, metaforę i gest. Daję mu znak. A on sam już wie, o co chodzi. Czuje to. Rozumie to. To właśnie uwielbiam w sile grafiki prasowej: potrafić powiedzieć wszystko, nie mówiąc nic - mówi laureat.

European Newspaper Award to najważniejsza w Europie nagroda, przyznawana od 1998 roku artystom i grafikom z branży medialnej.

**European
Newspaper
Award**
NEWSPAPER DESIGN · CONCEPT



„STEFAN KNAPP. ALCHEMIK I WIZJONER” - o panneauu i nie tylko na wystawie w Toruniu

Nie ma wątpliwości. Stefan Knapp, którego twórczości poświęcona jest najnowsza wystawa w Centrum Sztuki Współczesnej, zapisał się w dziejach i wizerunku Uniwersytetu Mikołaja Kopernika i Torunia

Marek Nienartowicz



Stefan Knapp podczas pracy nad panneauu. Do Polski przetransportowano je w 7 skrzyniach ważących ok. 1,5 tony

Stefan Knapp to światowego formatu twórca, który jedno ze swoich dzieł podarował Uniwersytetowi Mikołaja Kopernika w Toruniu. Na panneauu, czyli mozaikę umieszczoną na frontowej ścianie Auli UMK, składa się wizerunek Mikołaja Kopernika, zegar słoneczny, płytki z podpisem artysty oraz kompozycja rzeźbiarska symbolizująca układ ciał niebieskich. Znajduje się to na 255 kwadratowych elementach w trzech wielkościach.

Panneau wykonane jest metodą opracowaną przez Stefana Knappa, polegającą na pokrywaniu stalowych blach porcelanowym gruntem, a następnie nanoszeniu na nie sproszkowanego szkła o różnych barwach. Powierzchnia blach została utrwalona poprzez kilkakrotne ich wypalenie w specjalnym piecu, co uodporniło kolorowe elementy na działanie warunków atmosferycznych - mówi dr hab. Michał Pszczółkowski, autor książki „Architektura Uniwersytetu Mikołaja Kopernika”.

Panneau Stefana Knappa stało się symbolem UMK, także Torunia.

Panneau dla UMK - z kluczową rolą „Nowości”

A jak to się stało, że panneau znalazło się na elewacji Auli UMK? Udział w tym miały „Nowości”.

Stefan Knapp, który po II wojnie światowej znalazł się na emigracji w Wielkiej Brytanii, gościł w Polsce w 1971 roku. Podróżował z szlakiem kopernikowskim. W wywiadzie dla „Życia Warszawy” stwierdził, że swoją kompozycją chciałby upamiętnić Mikołaja Kopernika. Okazją miała być zbliżająca się, przypadająca w 1973 roku, 500. rocznica urodzin astronoma.

Rola „Nowości” w tym, że dzieło Stefana Knappa znalazło się w Toruniu, była absolutnie kluczowa. Po opublikowaniu wywiadu w „Życiu Warszawy” dziennikarze „Nowości” zasugerowali, by kompozycja została wyeksponowana w miejscu urodzenia astronoma, czyli w Toruniu. W efekcie w sprawę zaangażowały się władze UMK - mówi dr hab. Michał Pszczółkowski.

Wiosną 1972 roku, podczas wizyty w Toruniu, Stefan Knapp uzgodnił szczegóły

przedsięwzięcia z ówczesnym rektorem uniwersytetu, prof. Witoldem Łukaszewiczem. Ostatecznie zdecydowano, że mozaika znajdzie się na wznoszonej właśnie Auli, będącej jedną z części budowanego na przełomie lat 60. i 70., z okazji wspomnianej rocznicy, miasteczka akademickiego UMK na Bielanach.

Niedługo potem Stefan Knapp w swojej pracowni w Wielkiej Brytanii, którą wielkością przypominała nieduży hangar lotniczy, zaczął prace nad panneauu. Do Polski mozaika została przetransportowana drogą morską i lądową - w siedmiu skrzyniach ważących około 1,5 tony. W końcu października 1972 roku znalazły się one w Toruniu.

Panneau na Auli UMK zamontowały ekipy Bydgoskiego Przedsiębiorstwa Budownictwa Przemysłowego. Przebieg prac Stefan Knapp sprawdził podczas wizyty w Toruniu 21 listopada 1972 roku. Udzielił wówczas wywiadu „Nowościom”. Mówił o kulisach całego przedsięwzięcia i roli naszej gazety w nim.

31 stycznia 1973 roku mozaika na Auli UMK została odsłonięta.

Stefan Knapp wycenił swoje dzieło na 12 tysięcy dolarów (obecnie to ponad 80 tysięcy dolarów). Pokrył koszty związane z jego tworzeniem i transportem. Potraktował to jako dar dla UMK z okazji rocznicy urodzin Mikołaja Kopernika.

Alchemik i wizjoner

Także do wspomnianej wcześniej historii nawiązują autorzy wystawy, poświęconej twórczości artysty, zatytułowanej „Stefan Knapp. Alchemik i wizjoner”, otwartej w piątek 20 lutego w Centrum Sztuki Współczesnej „Znaki Czasu” w Toruniu. Została też pomyślana jako finał obchodów 80-lecia UMK. Powstała przy współpracy uczelni i CSW.

Na wystawie znalazła się nawiązująca do panneauu z Auli UMK animacja, stworzona przez Jakuba Wawrzaka. Prezentowanych jest ponad sto dzieł Stefana Knappa. To obrazy na płótnie (oleje i akryle), między innymi z „Cyklu sybe-

ryjskiego”, tusze na papierze, gobelin, emalie na stalowych płytach, rzeźby z brązu i aluminium, lampy z korzeni drzew oraz akrylowe.

Na wernisaż wystawy przyjechała rodzina Stefana Knappa, między innymi żona Cathy, także Ivan, jeden z dwóch jego synów, oraz krewniak, Paweł Sokołowski. Niektóre z dzieł prezentowanych w CSW pochodzą z jego kolekcji.

Dla nas, rodziny artysty, bardzo ważny aspekt to budowa rozpoznawalności Stefana Knappa i jego sztuki w Polsce. Był z tym problem, który dotyczy chyba wszystkich artystów, którzy byli Polakami, ale w powojennej rzeczywistości tworzyli poza Polską. Na wystawie w CSW można obejrzeć dzieła wujka, także film o nim, usłyszeć jego głos. Ta wystawa jest nie do przecenienia, bo poprzednia tak duża w Polsce, poświęcona jego twórczości, odbyła się w roku 1974 w warszawskiej Zachęcie. Przez lata Stefan Knapp skupiał się na wystawach w Wielkiej Brytanii czy

Stanach Zjednoczonych. Na tę w Toruniu wypożyczone zostały też prace z Wielkiej Brytanii. Przyjechały tu i przeszły konserwację w pracowniach Uniwersytetu Mikołaja Kopernika - opowiada Paweł Sokołowski.

Pamięć o Stefanie Knappie rodzina pielęgnuje poprzez wydawanie książek czy nieduże wystawy. Taka w 2025 roku została zorganizowana w Muzeum Partyzantów Polskich Osuchy'44, które jest oddziałem Muzeum Ziemi Biłgorajskiej. Inną mu poświęconą, kilka lat wcześniej można było oglądać w Biłgoraju.

Polak z Biłgoraja, emigrant po wojennych przeżyciach

To nie przypadek. To w Biłgoraju, w 1921 roku, urodził się Stefan Knapp. W tym mieście spędził dzieciństwo i młodość. W wieku 19 lat został zatrzymany we Lwowie, w którym się uczył, przez Sowieców. Skazano go na pobyt w obozie pracy. Trafił do Archangielska. Żył i pracował w nieludzkich warunkach. Po zawarciu

układu Sikorski-Majski został zwolniony z obozu. Dostał się do Armii Andersa. Potem został lotnikiem w brytyjskich Królewskich Siłach Powietrznych (RAF).

Po II wojnie światowej lotnicy służący w RAF-ie mogli wybrać szkoły i uczelnie. Naukę i studia w nich opłacało państwo brytyjskie. Stefan Knapp wybrał londyńskie uczelnie artystyczne, w tym najbardziej prestiżową - Slade School of Fine Art.

Sztuka była dla niego formą długoterminowej terapii po wojennej, zwłaszcza syberyjskiej traumie - mówi Paweł Sokołowski.

Stefan Knapp zdobył światową sławę jako twórca wielu wielkoformatowych dekoracji emaliowych. Powstały one między innymi dla lotniska Heathrow w Londynie. Jedną z nich przedstawia lotniczą bitwę o Anglię z lat II wojny światowej. Podobne kompozycje stworzył dla licznych obiektów w Europie i obu Amerykach. Jego dzieła znajdują się także w różnych miejscach w Polsce, oprócz Torunia - choćby w planetarium w Olsztynie, na stacjach metra „Wilanowska” i „Pole Mokotowskie” w Warszawie czy w Biłgoraju.

Stefan Knapp zmarł w Wielkiej Brytanii w 1996 roku.

Rodzina Stefana Knappa to towarzystwo rozsiadane po świecie. Mamy jej część polską. To ci, którzy mieszkają w Biłgoraju i Warszawie, także w Toruniu. Bardzo duża część rodziny żyła i żyje w Wielkiej Brytanii. To jego żona, dzieci, wnukowie. Są też osoby mieszkające w Irlandii i Francji. No i jest rodzina żyjąca w Nowej Zelandii i Australii. Sporo tych osób przyjechało na wernisaż wystawy w Toruniu. Niektóre dostały w ten sposób okazję, by zobaczyć się po wielu latach - mówi Paweł Sokołowski.

Z dziełami Stefana Knappa przyjechała też do Torunia duża część archiwum.

Zostanie zdigitalizowane. To też jest olbrzymia skarbnica wiedzy o tym, co Stefan Knapp robił, jakie prace wykonywał. A jego prac, rozsiadanych po świecie jest bardzo dużo. Myślę, że nie wszystkie znamy i kojarzymy - dodaje Paweł Sokołowski.

Wystawę „Stefan Knapp. Alchemik i Wizjoner” można oglądać w toruńskim CSW do 31 maja. „Nowości” są jej patronem medialnym.

Padle krowy i konie wyciągano pod ambony, a następnie faszeryowano trucizną. Egzekutorzy mieli dobijać podtrute wilki, ale też pilnować, by do padliny nie dobrały się inne gatunki. Tak naprawdę, żeby dorosły wilk padł po zjedzeniu toksycznego truchła, musiał przyjąć pokaźną dawkę luminału, lecz nawet wtedy skutek nie był pewny. Zwykle zwierzęta te wymiotowały i po jakimś czasie wracały do równowagi. Inne chodziły półprzytomne i stawały się łatwym celem dla myśliwych, a pewna ich liczba nie mogła o własnych siłach ruszyć się spod nęciska. Wilki wciąż żyły, ale cierpiały. Ich czas był policzony. W końcu same zasypiały na wieki wieków bądź też ginęły od kuli łowcy, który sprawdzał rewir lub kończył dyżur w czatowni.

Oficjalnie minister leśnictwa i przemysłu drzewnego Jan Dąb-Kocioł zgodę na trucie wilków wydał 6 czerwca 1960 roku, ale zapowiedzi takiej metody walki z drapieżnikami pojawiły się w mediach dwa lata wcześniej. Już wtedy wiadano, że samo odstrzeliwanie, chwytanie w sidła i wybieranie szczeniąt z gniazd to za mało, by poradzić sobie z watahami. Nie tylko w Bieszczadach i Beskidzie Niskim – podobny problem dotyczył całego pasa wschodniego wzdłuż granicy z ZSRR, od Pogórza Przemyskiego aż po Suwalszczyznę, a ponadto Roztocza, Warmii i Mazur oraz kilku rejonów na zachód od Wisły. Myśliwi nie radzili sobie z nałożonym na nich obowiązkiem likwidowania wilków, bo nie zawsze skutecznie je lokalizowali. Zimą głęboki śnieg niekiedy wręcz uniemożliwiał długie marsze po lesie. Chłopi i robotnicy, zachęceni opłatą do naganki, brnęli metr po metrze w zaspach po uda, ale w końcu tracili ochotę na tak wyczerpującą wysiłek.

Samolotem na drapieżnika

Żeby poprawić niezadowalające wyniki, wilki ponownie – tak jak w drugiej połowie lat pięćdziesiątych na Lubelszczyźnie – tropiono z samolotów. Na prośbę Ludwika Siedleckiego, naczelnego komisarza do walki z wilkami, kukuruźniki z aeroklubów rzeszowskiego i krośnieńskiego fruwały nad podkarpackimi lasami. Obok pilota siedział obserwator, który po dostrzeżeniu tropów szarych drapieżców bądź samych wilków informował o tym myśliwych na ziemi przez krótkofalówkę. Ci natychmiast obstawiali dany obszar i zaczynało się wielkie strzelanie. Jeśli akcja była udana, do przestrzeni publicznej trafiał przekaz o „zlikwidowaniu szkodników”. Termin „szkodnik” był używany w od-

KOTLET Z LUMINALEM, CZYLI JAK TĘPIONO WILKA W BIESZCZADACH

„Służba leśna województwa rzeszowskiego przystępuje do akcji tępienia wilków przez zastosowanie metody prof. Zajcewa z ZSRR. Metoda ta, polegająca na truciu (...) luminalem, czyli środkiem nasennym (który w większych dawkach jest silną trucizną) – zastosowana będzie w Polsce po raz pierwszy” – informowały w marcu 1958 roku „Nowiny Rzeszowskie”

Krzysztof Potaczala



Myśliwi i martwy wilk. Za zabicie szarego drapieżnika państwo wypłacało nagrody (nie tylko myśliwym) w wysokości tysiąca, dwóch, a z czasem nawet trzech tysięcy złotych

niesieniu do gatunku *Canis lupus nader* często, podobnie jak określenia: „zabójca”, „morderca”, „rabuś”, „złodziej”, „bandyta”. I tak dalej.

- A kim lepszym można nazwać tego gada? - pyta niejako sam siebie stary myśliwy, który przez lata naoglądał się wilczych ofiar i za każdym razem brał odwet. Nie dla pieniędzy, zapewnia, lecz z obowiązku i przekonania. - Każdy, komu zależało na równowadze w lesie - dopowiada - powinien odzłować choć jedną kulę na wilka. Jeśli nie był w związku łowieckim i nie miał broni, to mógł wysledzić wilczą norę i założyć w jej pobliżu potrzask. Żeby jakiś wilk weń wpadł, zawył z bólu i żeby już nie mógł się uwolnić.

Pomysłów na zabijanie nie brakowało.

„Rejon Lasów Państwowych w Sanoku posiada wilczyce. Myśliwi sanoccy (...) wywożą w klatce waderę, której wycie zwabia stada wilków. Znajdujący się na czatach w pobliżu mają wtedy ułatwione polowanie. W ten sposób zastrzelono ostatnio trzy sztuki” - podawały w lutym 1958 r. wspomniane „Nowiny Rzeszowskie”.

Wypłacano wtedy - tak jak i później - nagrody finansowe już nie tylko za odstrzelenie wilka (tysiąc złotych, z czasem dwa i trzy tysiące) lub wybranie młodych z gniazda, lecz nawet za zlokalizowanie wilczych tropów. By otrzymać pięćset złotych, nie trzeba było zabijać, wystarczyło pośrednio przyczynić się do rychłego uszczuplenia wilczej populacji. Niektórzy niemal zawodowo zajmowali się odnajdywaniem tropów. Zwłaszcza ci, którzy znali las i jego tajemnice. W każdej części Polski, w której żyły wilki, nie brakowało drwali, wozaków, zbieraczy runa i poroży. Szybko nauczyli się oni odczytywać ślady zwierząt, szczególnie drapieżnych. Gdy tylko natrafiali na odbite w śniegu lub błocie wilcze łapy, natychmiast informowali o nich najbliższe leśnictwo. Potem wszystko toczyło się wedle znanego schematu: myśliwi otaczali konkretny obszar, grodzili go liną z czerwonymi szmatkami, a potem płoszyli drapieżniki i urządzali kanonadę. Wilki biegały jak opętane między krzakami i drzewami, pragnęły wydostać się z pułapki, ale gdy tylko doskakiwały do ogrodzenia, w żaden sposób nie mogły go przeskoczyć. Strach przed pokonaniem tej bariery - niewysokiej, bo ledwie trzydziestocentymetrowej - był silniejszy.

Ale czasami któryś z dorosłych wilków zdobywał się na heroizm. Kiedy nadzwyczajnym wysiłkiem własnej psychy forsował nieprzekraczalną dotąd granicę, pozostałe szły za nim jak w dym. I wtedy to one wychodziły zwycięsko z potyczki z uzbrojonymi łow-



FOT. ZBIORY PRYWATNE KRZYSZTOFA POTACZAŁY

Narada łowców przed polowaniem. Okolice Ustrzyk Dolnych, lata 60. XX wieku

cami. Odzyskiwały wolność, ową przestrzeń życia, która sekundy wcześniej wydawała się niemożliwa. Taka grupa była od tej pory jeszcze ostrożniejsza, a jej eliminacja - mocno utrudniona. Wilki mają przecież doskonałą i długą pamięć. Po złych doświadczeniach wazyły każdy swój krok i długo obwąchiwały teren, zanim zaległy na odpoczynek.

Tadeusz Misiuda, bieszczadzki leśnik i myśliwy, przekonał się o tym pewnego zimowego dnia, kiedy wraz z kolegami ofladował kawał lasu, w którym „na sto procent siedziały te skurczybyki”, a potem się okazało, że przechrzyżyli ludzi. - Wracalem do domu jak niepyszny i nie umialem pojąć, jak to się mogło stać. Przecież sam je w tym rewirze zlokalizowałem, byłem przekonany, że są już moje, a jednak uszły. Tego dnia nabrałem szacunku do wilków, choć nie zamierzałem im darować.

Misiuda miał z wilkami osobiste porachunki. Najpierw zaabił mu na łąkach w Stuposianach dwa cielaki i jałówkę, a później, kiedy już mieszkał w sąsiednich Pszczelinach - sześćsetkilogramowego byka. Polował już dużo wcześniej, ale po przykrych wydarzeniach jeszcze bardziej zapalił się do ścigania - jak podkreśla - nienazartych drapieżców. Z głębokich Bieszczadów jeździł niekiedy winne rejon, za Ustrzyki Dolne i pod Przemyśl, gdzie wspólnie z innymi łowcami organizował obławy.

- Nie strzelaliśmy na odwal, bo w taki sposób mogliśmy przynieść więcej szkody niż pożytku. Ranny wilk mógł się dowlec do gęstego młodnika i dopiero tam paść. Nikt by go

nie znalazł. Dlatego w wolnych chwilach ćwiczyliśmy oko. Wśród nas Grzegorz Strouhał, olimpijczyk z Monachium w strzelaniu do rzutków, czterokrotny mistrz Polski w tej konkurencji i wicemistrz Europy w drużynie. Ciągłe nam powtarzał, że nigdy dość treningu.

Fiolka luminalu na 14 dag mielonego mięsa

Mimo że wilka w 1955 r. wyjęto spod prawa, wciąż pozostawał stworzeniem, które - jak wszystkie inne - czuje ból. Co więcej, nie był pozbawiony uczuć. Etyczny myśliwy miał obowiązek zabijać tak, by nie przysparzać zwierzęciu zbędnych cierpień. Jeden strzał i śmierć. Tyle teoria. W praktyce setki wilków kończyły żywot na raty, a wielu z nich nigdy - mimo pomocy psów - nie zdołano odszukać. Mowa tu o polowaniach w rozumieniu kodeksu łowieckiego, nie zaś o barbarzyńskim truciu zwierząt na raty, a wielu z nich nigdy - mimo pomocy psów - nie zdołano odszukać. Mowa tu o polowaniach w rozumieniu kodeksu łowieckiego, nie zaś o barbarzyńskim truciu zwierząt na raty, a wielu z nich nigdy - mimo pomocy psów - nie zdołano odszukać.

Czasami między myśliwymi dochodziło na tym tle do spięć. Niektórzy rywalizowali o to, kto w najkrótszym czasie otruje lub w inny sposób uśmierci więcej wilków, a tym samym zarobi więcej pieniędzy. Już nie na motocykl, lecz może nawet na syrenkę - motoryzacyjne marzenie tysięcy obywateli PRL-u.

Luminal, znany od 1912 roku, to środek uspokajający, nasenny i przeciwdrgawkowy z grupy barbituranów. Stosowano go często u chorych na epilepsję. W większych dawkach powoduje śpiączkę i pora-

żenie układu oddechowego. Służby weterynaryjne opracowały dokładną procedurę podawania tej toksyny szarym drapieżnikom. Przypominała ona przepis z książki kucharskiej dla szaleńców lub tajemnej księgi magów:

„Na 14 dag mielonego mięsa dać fiołkę luminalu o zawartości 14 gramów. Wymieszać środek z mięsem, sformować 14 dag kotletów, zanurzyć w łożu bydlęcym i tak przygotowane kotlety umieścić w drewnianym pudle wyścielonym świeżym igliwem. W godzinach wieczornych podkładać kotlety pod rozrzucone kości na śmietniku” - czytamy w dokumencie dotyczącym akcji wilczej.

Komisarze do walki z wilkami zostali przeszkoleni, a następnie sami przeszkolili myśliwych w terenie, by postępowali ostrożnie i nie dotykali trucizny gołymi rękami. - Wykładałem nieraz przed zmrokiem zatrutą padlinę w asyście Antoniego Ostrówki, komisarza rejonowego na powiat ustrzycki - opowiada Jan Kułacki. - Zawsze w gumowych rękawiczkach, zgodnie z przepisami. Rano musieliśmy obowiązkowo wrócić na miejsce i sprawdzić, czy wilki żerowały na truchle.

- Pamiętam, jak tato przygotowywał w domu kotlety mielone z domieszką luminalu - wspomina Marian Ostrówka, syn Antoniego. - Nam, dzieciom, nie pozwalał niczego dotykać, robił wszystko z zachowaniem norm bezpieczeństwa. Potem wywoził te kotlety pod chatownię i faszerował nimi końskie tusze.

Padłe zwierzęta kupowano najczęściej od zarządców parków konnych w Bieszczada-

dach. Wyniszczone chorobami lub długotrwałą ciężką pracą przy zrywce i transporcie drewna z lasu, w końcu umierały. Ale nie pozostawały bezużyteczne - ich martwe ciała zwabiały wilki i inne drapieżniki.

Ryszard Buziewicz: - Kupowałem mięso w masarni i razem z kolegami formowaliśmy z niego półokrągłe kotlety. Wyglądały apetycznie, a zapach powodował, że mieliśmy ochotę je sobie usmażyć. Potem wypełnialiśmy je luminalem, obwiązywaliśmy sznurkiem i wieźliśmy do lasu. Taką operację przeprowadziłem wielokrotnie.

Jan Kułacki: - Kiedyś dostaliśmy od komisarza Ostrówki zatrutą przynętę w kształcie jaja. Było powleczone łożem i lekko podsmażone. Intensywny zapach ścigał drapieżniki, ale nie od razu podchodziły i rzucały się na żer. Kluczyły, obwąchiwały smakowały, odchodziły, wracały i dopiero po pewnym czasie, choć tylko niektóre, zaczynały jeść.

Kruki wisały jak nietoperze

Luminal miał spowodować, że wilki zostaną zlikwidowane szybciej i łatwiej. Tymczasem z raportu dotyczącego akcji wilczej wynika, że ten sposób pozbywania się niechcianych zwierząt był mało skuteczny. Na dowód Marian Ostrówka przypomina pewne wydarzenie: - Kiedyś ojciec opowiadał, że mięsa z taką wkładką pojawiały się na końskiej padlinie i wydziobywały kolejne kęsy. Już nasycone, odleciały na najbliższe drzewa, a po chwili zasnęły. Wisały na gałęziach jak nietoperze,

głowami w dół, zupełnie nieruchome. A potem się przebudziły i odfrunęły...

Rejonowy komisarz spędzał w terenie więcej czasu niż w domu. - Nam, dzieciom, nie bardzo się to podobało, ale operacja przeciwko wilkom była priorytetem - relacjonuje dalej syn Antoniego. - Nawet mama godziła się z częstą nieobecnością taty. Pamiętała, że wilki nie raz i nie dwa napadały na owce jej ojca, więc wyjazdy swego męża na polowania traktowała jak obowiązek i swego rodzaju rozliczenie z drapieżnikami. Ojciec przemierzał swoją wufemką połowę Bieszczadów, aż po wioski i osady położone pod połoninami. A po powrocie do domu, czasami po dwóch, trzech dniach, śleczła do nocy nad papierami, bo musiał sporządzać szczegółowe raporty z operacji niszczenia wilków. Raz w miesiącu rozliczał się przed komisarzem wojewódzkim, który nie tolerował jakichkolwiek uchybień.

- Zabijanie za pomocą trucizny od początku mi się nie podobało - nie ukrywa Stefan Dyrda. - Zawsze istniało niebezpieczeństwo, że środek przeznaczony dla wilków przyjmie wraz z padliną inna zwierzęcina.

- W istocie zdarzało się, że mięso z luminalem zjadały dziki, lisy, kuny czy kruki - dopowiada Tadeusz Zając. - Niektóre z tego powodu traciły życie i to był jasny sygnał, że trzeba zrezygnować z wykładania trucizny. Ale nie zdecydowali o tym szeregowi myśliwi, lecz komisarze po konsultacji z przełożonymi w województwie. Ci z kolei musieli uzyskać pozwolenie od komisarza krajowego.

W rejonie Lutowisk luminal odłożono na półkę po kilku

miesiącach stosowania. Pewnie by do tego nie doszło, gdyby nie przypadek. - W Nasicznem padł stary koń, więc jeszcze tego samego dnia zawlokłem truchło na leśną polanę, w pobliże ambony - wspomina Franciszek Kazmierczyk. - Przed zmrokiem miał przyjechać komisarz rejonowy, by napełnić trucizną padlinę. Ostatecznie nie doczekałem się wizyty, ale zasiadłem w chatowni z nadzieją, że mimo wszystko ustrzelę wilka. Po paru godzinach zmorzył mnie sen. Gdy nad ranem się obudziłem, dostrzegłem przez okienko, że koń leży inaczej niż wieczorem. Pomyślałem, że pewnie w nocy biesiadował przy nim niedźwiedź, ale dla bezpieczeństwa zszedłem dopiero dwie godziny później, przy jasnym niebie. Kiedy się zbliżyłem do truchła, ze zdumieniem dostrzegłem na ziemi ślady męskich trzewików. Ktoś wyrzucił z martwego zwierzęcia duże płaty... Z lasu pojechałem prosto na posterunek milicji. Po nitce do kłębka i kilka godzin później znaleźliśmy z sierżantem skradzioną koninę. Leżała w baraku w Nasicznem, w blaszanej miednicy za kuchennym przepierzeniem. W budynku mieszkała wielodzietna rodzina, dla której to ściervo, wcześniej wymoczone w denaturacji, miało być niedzielnym obiadem.

Ludzie nie zawsze czytali ogłoszenia, mimo że - zgodnie z zarządzeniem gromadzkich rad narodowych - w odległości od pięciuset do tysiąca metrów od miejsca składowania padliny umieszczano tablice informacyjne o stosowaniu trucizny przeciw wilkom. Miały ostrzegać przed dotykaniem martwych zwierząt. Nikomu nie przyszło na myśl, że mógłby się znaleźć ktoś, kto považowałby się zaabrać zepsute mięso do domu, żeby ją usmażyć i zjeść.

POLECAMY

„CZŁOWIEK I WILK. HISTORIA SPLAMIONA KRWIĄ KRZYSZTOFA POTACZAŁY”



Artykuł jest fragmentem książki Krzysztofa Potaczały pt. „Człowiek i wilk. Historia splamiona krwią”. Wydawnictwo Znak Horyzont, Kraków 2026. Premiera książki: 11 marca 2026 r.

POLSKA i ŚWIAT

KRÓTKO

ZBRODNIENIE NA OPOLSZCZYŹNIE

Dwa podwójne morderstwa

- Policja ustala okoliczności zbrodni, do której doszło w nocy ze środy na czwartek w Kadłubie pod Strzelcami Opolskimi. W jednym z domów znaleziono zwłoki dwóch osób - poinformowała rzeczniczka Komendy Powiatowej Policji w Strzelcach Opolskich mł. asp. Dorota Janać.

Według relacji rzeczniczki strzeleckiej policji funkcjonariusze w nocy otrzymali informację o morderstwie w jednym z domów jednorodzinnych. - Funkcjonariusze, którzy przybyli na miejsce, zna-

leźli zwłoki mężczyzny i kobiety. Według wstępnych ustaleń to mieszkańcy tego domu - powiedziała Janać.

Na Opolszczyźnie doszło też do innego morderstwa. W jednym z domów w miejscowości Sady (gmina Niemodlin) policjanci znaleźli ciała dwojga młodych ludzi. Na strychu ukrywał się z kolei ich potencjalny morderca. 29-latek miał przy sobie zakrwawiony nóż. Zaatakował policjantów. Mężczyzna, który został zatrzymany, to 29-letni brat zamordowanej kobiety.

WARSZAWA

Obchody Roku Wajdy

Wczoraj w stołecznym kinie Iluzjon podczas śniadania prasowego zaprezentowano materiały związane z reżyserem Andrzejem Wajdą. Spotkanie dotyczyło obchodów Roku Wajdy. Uczestniczyła w nim również minister kultury i dziedzictwa narodowego Marta Cienkowska.



FOT. TOMASZ GZEL

WARSZAWA

Znaleźli prawie 18 kg mefedronu

Funkcjonariusze Nadwiślańskiego Oddziału Straży Granicznej rozbili laboratorium narkotyków syntetycznych, działające na jednej ze stołecznych posesji. Zabezpieczyli blisko 18 kilogramów mefedronu o czarnorynkowej wartości około 1,5 mln złotych. Zatrzymano dwóch obywateli Ukrainy.

Rzeczniczka komendanta Nadwiślańskiego Oddziału

Straży Granicznej mjr SG Dagmara Bielec przekazała, że kluczowe znaczenie w śledztwie miała międzynarodowa współpraca - dzięki wykorzystaniu kanałów Europolu i bieżącej wymianie informacji z ukraińską policją narkotykową. Wyjaśniła, że dzięki temu funkcjonariusze ustalili lokalizację do-mu jednorodzinnego zaadap-towanego na laboratorium.

ZUS

Od 1 marca wzrosną limity dodatkowego przychodu dla wcześniejszych emerytów i rencistów - przekazał ZUS. Dolny limit dorabiania, który nie wpływa na wysokość świadczenia, będzie wynosił 6 438,50 zł brutto miesięcznie (70 proc. przeciętnego wynagrodzenia). Po przekroczeniu górnej granicy - 11 957,20 zł brutto (130 proc. przeciętnego miesięcznego wynagrodzenia) - ZUS zawiesi wypłatę wcześniejszej emerytury lub renty.



Polska prowadzi działania, aby kraje członkowskie UE poparły kandydaturę Warszawy na siedzibę EUCA

Andrzej Domański, minister finansów

NATO i UE to dwa filary naszego bezpieczeństwa i dobrobytu

Dorota Kowalska
Warszawa

Wczoraj Radosław Sikorski przedstawił w Sejmie exposé dotyczące priorytetów polskiej polityki zagranicznej w 2026 roku. Nie wszyscy mieli ochotę go wysłuchać.

Przemówieniu ministra spraw zagranicznych przysłuchiwał się prezydent Karol Nawrocki, ale brakowało czołowych polityków Prawa i Sprawiedliwości, na czele z prezesem partii Jarosławem Kaczyńskim.

Minister Sikorski mówił o Unii Europejskiej, o wojnie w Ukrainie, o Stanach Zjednoczonych i największych wyzwaniach, jakie w najbliższych latach stoją przed naszym krajem.

- Słyszę straszenie, że Unia Europejska to projekt, który buduje potęgę Niemiec i prowadzi do rzekomej dominacji Berlina nad Brukselą i Warszawą. Odwołam się do faktów. Prekursorka UE, czyli Europejska Wspólnota Węgla i Stali, powstała po to, aby na niemiecką potęgę nałożyć ramy wspólnego zarządzania przemysłem ciężkim - mówi Radosław Sikorski. I dodał, że członkostwo Polski w UE nie jest ani dziełem przypadku, ani efektem przymusu. To suwerenny strategiczny wybór, jakiego Polska dokonała w latach 90., oceniając różne możliwe



FOT. ALBERT ZAWADA

Minister Sikorski mówił o Unii Europejskiej, o wojnie w Ukrainie, o Stanach Zjednoczonych i największych wyzwaniach, które stoją przed naszym krajem

scenariusze rozwoju po upadku komunizmu.

- Bezpieczeństwo Polski wzmacniają dwie organizacje, których jesteśmy wzorowymi członkami, czyli UE i NATO. Każda z nich ma inną rolę, ale nie konkurują ze sobą, tylko wzajemnie dopełniają. Wiemy, jak trudne jest osiągnięcie jednomyślności - stwierdza wicepremier Sikorski.

Minister Sikorski zauważył, że pogorszyły się relacje między USA i Europą, co dla naszego kraju jest szczególnie wyzwaniem, ale też - co podkreślał Sikorski - sojusz i bliskie związki

z USA od dekad były filarem naszej polityki zagranicznej, niezależnie od tego, kto rządził w Polsce i kto zasiadał w Białym Domu.

- To nie Europa wysuwa roszczenia terytorialne, nakłada cła, czy ingeruje w rywalizację partyjną po drugiej stronie Atlantyku. W tej sprawie społeczeństwo jest zdeorientowane - mówił minister Radosław Sikorski. - Nastąpił zwrot w kierunku polityki siły. Widzimy próby powrotu do koncertu mocarstw, czyli sytuacji, w której największe państwa dzielą świat na strefy wpływów, gdzie

rzekomo powinny im przysługiwać szczególne, także terytorialne, prawa. Chętni do reaktywacji tego systemu są niestety w różnych częściach globu - tłumaczył. I dodał, że marzą o tym niektórzy nacjonaliści, ale w świecie, w którym o wszystkim decyduje siła i pieniądze, nie ma miejsca na prawdziwe sojusze.

Minister przypomniał też, że za naszą wschodnią granicą od 2014 roku trwa wojna.

- Ocenia się, że na skutek decyzji Kremla zginęło lub zostało rannych ok. 1 mln 200 tys. rosyjskich żołnierzy. Niektóre szacunki mówią, że na jednego zabitego żołnierza Ukrainy ginie aż siedmiu rosyjskich - mówił szef MS. I dodał, Ukraińcy, którzy uciekli przed wojną do Polski są bardzo aktywni zawodowo: od 2022 roku założyli w naszym kraju ponad 120 tys. firm, zatrudniają ludzi, płacą podatki.

- Bez względu na najważniejszym wyzwaniem dla Polski w najbliższych latach pozostanie wojna Rosji przeciwko Ukrainie. Dlatego do końca dekady musimy zbudować armię, która trwale odstraszy Putina oraz stworzyć równoległe systemy sojuszy - podkreślił.

I dodał, że „wewnątrz kraju możemy się spierać, ale w kwestiach fundamentalnych granicą sporu powinna być granica państwa”. Podkreślił, że Polacy są w stanie osiągnąć sukces na arenie międzynarodowej tylko wspólnym wysiłkiem.

Dwaj doświadczeni polscy skialpiniści zginęli w słowackich Tatrach

Dwaj Polacy, którzy w środę zginęli przysypani przez lawinę śnieżną w Tatrach, byli doświadczonymi skialpinistami i freeridowcami.

Do wypadku doszło w środę po południu w rejonie Doliny Mieguszowieckiej, w pobliżu niebieskiego szlaku turystycznego. Lawina zeszała ze żlebu opadającego z Popradzkiej Grani.

Inni polscy skialpiniści zgłosili zejście lawiny, w której torze znajdowało się dwóch poszkodowanych. Obaj mężczyźni zostali całkowicie zasypani. Chwilę później z operacyjnym centrum ratunkowym HZS skontaktowało się - za pośrednictwem aplikacji ratunkowej - pięciu czeskich skialpinistów. Dysponowali oni pełnym wyposażeniem lawinowym i niezwłocznie

przystąpili do przeszukiwania lawiniska. Aplikacja automatycznie przekazała ratownikom dokładną lokalizację zdarzenia.

Już w trakcie desantu ratowników na lawinisko czescy skialpiniści wydobyli spod śniegu jednego z zasypanych, ale nie udało się uratować 41-latkę. W czasie transportu kolejnych ratowników spod lawiny wydobyto także drugiego mężczyznę.

Doznał on rozległych obrażeń. Mimo intensywnej i długotrwałej akcji ratunkowej nie udało się również przywrócić czynności życiowych reanimowanemu 31-latkowi. Według informacji przekazanych PAP przez osoby ze środowiska górskiego, Polacy byli doświadczonymi skialpinistami i freeridowcami.

PAP/OPRAC. ANNA NAGEL

DROBNE

Nieruchomości

MIESZKANIA - WYNAJME

MIESZKANIE do wynajęcia 2 pok.
Białe Błota tel.733439002

SZUKAM mieszkania, wynajem,
Bydg., 2 pokoje, bez mebli Tel.
500 257 591

Finanse biznes

KREDYTY, POŻYCZKI

KREDYT bez zdolności 781026832

Praca

ZATRUDNIĘ

FIRMA sprzątająca zatrudni tel.
502 630 031

OCHRONA z gr. niepełnosprawności
Bydgoszcz tel. 604 630 556

SERWIS sprzątający z gr.
niepełnosprawności Bydgoszcz tel.
604 630 556

ZATRUDNIĘ murarzy i na
wykończenie wnętrz tel. 606 432 661

AUTOREKLAMA

ibo TWOJE DOMOWE BIURO OGŁOSZEŃ

Ogłoszenia drobne
w Twojej gazecie przez
Internetowe Biuro Ogłoszeń.
Bez wychodzenia z domu.

ibo.polskapress.pl

AUTOPROMOCJA

**Kondolencje
i nekrologi
w Twojej gazecie**

Tutaj zlecisz ogłoszenie

ibo.polskapress.pl

AUTOPROMOCJA

Zdrowie

LABORATORIA

DR n.med. Maciej Świtoński-
chirurg choroby jelita grubego,
choroba hemoroidalna, 602298213,
60-229-82-13, 602-298-213, Bydgoszcz

Usługi

MONTAŻOWE

NAPRAWA okien, drzwi tel.
602720927

ROLETY ATRAKCYJNE CENY.
Producent „GARDA” tel. 52/372-04-04

Turystyka

KRAJ - GÓRY

**Beskidy koło Wadowic -
Wielkanoc od 1100 do
1400zł. Możliwość dowozu
501-642-492**

Różne

STARE książki skup, 881-934-948

Towarzyskie

AREK, Artur dla kobiet - tel.724237828

REKLAMA

0011471230



**Zielń
Miejska**
Zakład Pogrzebowy

UL. CZARTORYSKIEGO 13
24h / 7 - 52 324 99 99
WŁASNE KREMATORIUM

0011485669

Z głębokim żalem zawiadamiamy,
że dnia 25 lutego 2026 roku odszedł
mój kochany Mąż, nasz Tata,
Dziadek, Brat, Szwagier, Wujek i Kuzyn

ś†p

Gabriel Kuberski

Lat 74

Msza św. pogrzebowa, poprzedzona Różańcem,
zostanie odprawiona w poniedziałek
2 marca 2026 roku o godz. 12.00
w kościele pw. św. Mikołaja.

Po Mszy św. odprowadzimy śp. Gabriela
na miejsce wiecznego spoczynku
na cmentarzu parafialnym przy ul. Piastowej.
W smutku pogrążona

Rodzina

0011485978

Z głębokim żalem zawiadamiamy,
że dnia 23 lutego 2026 r. odeszła od nas
Nasza Kochana
Mama, Teściowa, Babcia i Prababcia

ś†p

Krystyna Szymańska

lat 86

Ceremonia pogrzebowa odbędzie się
6 marca 2026 r. (piątek) o godzinie 13:30
(różaniec 13:00) na cmentarzu komunalnym
przy ul. Wiślanej w Bydgoszczy.

W smutku pogrążona
Rodzina

0011485703

Z głębokim żalem
przyjeliśmy wiadomość o śmierci

ś†p

Waldemara Krzysztofa Jankowskiego



Rodzinnie i Najbliższym

składamy
wyrazy głębokiego współczucia.

Zarząd i Pracownicy Spółdzielni Mieszkaniowej
„Zjednoczeni” w Bydgoszczy

0011485778

Piotrowi Napierale

najszczerze wyrazy współczucia
z powodu śmierci

Taty

składa

Jowita z Rodziną

0011483979

Podziękowanie

Ks. Bartłomiejowi Kozłowskiemu z parafii pw. Matki Boskiej Zwycięskiej
za odprawioną Mszę Świętą, homilię i oprawę liturgiczną pogrzebu
oraz Wspólnocie Żywego Różańca za duszę

ś†p

Ireny Grodzkiej

Rodzinnie,

Sąsiadom, Przyjaciołom i Znajomym
za modlitwę, udział w pogrzebie, złożone wieńce i kwiaty
oraz okazaną pomoc i wsparcie

Mąż

0310733261

Zleć nekrologi,
ogłoszenia drobne,
życzenia

Biuro ogłoszeń Expressu Bydgoskiego:

Bydgoszcz, czynne: pn.-pt. 8-16, ul. Zamoyskiego 2

tel. 519 503 513, e-mail: magdalena.welka@polskapress.pl

Zawisza, Elana, Wda i Tłuchowia rozpoczynają wiosnę w Betcllic 3. Lidze. Zagrają o różne cele

Marcin Kozłowski, DK
marcin.kozlowski@polskapress.pl

PIĘKA NOŻNA. Już dziś - po długich trzech miesiącach przerwy - wznowione zostaną rozgrywki Betcllic 3. Ligi. Do końca maja kibiców futbolu w regionie czeka z pewnością wiele emocji.

Zawisza wystąpi na trzech frontach, ale liga jest najważniejsza

Po rundzie jesiennej Bydgoszczanie są wiceliderem tabeli ze stratą 2 pkt. do Polonii Środa Wielkopolska. Drugie miejsce gwarantuje grę w barażach o awans do Betcllic 2. Ligi, ale w klubie z ulicy Gdańskiej 163 mówią wprost, że chcą uniknąć dodatkowych, nerwowych spotkań i wywalczyć promocję już po 34. kolejkach.

Pierwszym rywalem Zawiszy po zimowej przerwie będzie Noteć Czarnków. Goście zajmują 11. lokatę mając na koncie 25 „czek” (12 mniej od niebiesko-czarnych). Zespół z Wielkopolski to niewygodny rywal, który na wyjazdach w 7 meczach zdobył 11 pkt., gromiąc m.in. 6:2 lidera ze Środy Wielkopolskiej. Gospodarze zapewniają jednak, że są dobrze przygotowani do spotkania i interesują ich wyłącznie 3 pkt. W sierpniu w Czarnkowie Zawisza wygrał 4:2.

Adrian Stawki, trener Zawiszy jest zadowolony z okresu przygotowawczego i transferowych ruchów w zespole.

- Podczas zimowej przerwy zrealizowaliśmy wszystkie założone cele, choć ze względu na pogodę łatwo nie było. Bardzo dziękuję pracownikom Bydgoskiego Centrum Sportu za znakomite przygotowanie boisk do sparingów i treningów. Będziemy grali w lidze, Pucharze Polski i pucharze regionalnym. Jeśli w zespole nie będzie kontuzji to spokojnie poradzimy sobie na wszystkich frontach. Najważniejsza jest oczywiście Betcllic 3. Liga i wywalczenie awansu, bo taki jest nasz cel. Zadowolony jestem z przeprowadzonych transferów i każdy nowy zawodnik powinien być wartością dodaną - mówi trener niebiesko-czarnych.

Niestety, piątkowy (godz. 14) mecz odbędzie się - bez udziału kibiców - na boisku ze sztuczną nawierzchnią. Po srożej zimie murawa na stadionie nie jest w najlepszym stanie i jest szykowana na środowy mecz STS Pucharu Polski z Chojniczanką Chojnice.

Wyniki sparingów Zawiszy: 5:1 z Pogonią Mogilno, 1:2 z Le-



W ostatnim sparingu Zawisza Bydgoszcz pokonał 5:1 Pogoń Mogilno. Teraz czas na rozgrywki Betcllic 3. Ligi

gią II Warszawa, 2:1 z Lechią Zielona Góra, 2:4 z Gedanią Gdańsk, 1:2 z Polonią Warszawa.

Transfery Zawiszy: przyszedli - Wojciech Szumilas (napastnik z Podbeskidzia Bielsko-Biała), Oliwier Jakuć (ofensywny pomocnik z GKS Jastrzębie), Mikołaj Dziarkowski (obrońca z Wdy Świecie), Ksawery Kostrzewski (bramkarz z Widzewa Łódź U-17); odeszli - Cezary Zalewski (napastnik - bez klubu), Mateusz Śmigłowski (pomocnik - bez klubu). Klub przedłużył ponadto do 2028 roku kontrakt z ofensywnym pomocnikiem Marcellem Strzyżewskim

Elana gra o awans i puchar

Żółto-niebiescy z Torunia rundę wiosenną rozpoczną w sobotę. O godz. 14 podejmować będą Cartusie Kartusy. Podobnie jak w Bydgoszczy spotkania nie zobaczą fani drużyny. Z powodu złego stanu murawy na Stadionie Miejskim przy ul. Bema mecz odbędzie się na boisku przy ul. 63. Pułku Piechoty.

Gospodarze z dorobkiem 34 pkt. zajmują 4. lokatę w tabeli. Z kolei goście są dwie pozycje niżej mając na koncie 3 „oczka”. Ekipa z Kaszuba przed rokiem niemal do końca broniła się przed spadkiem, ale teraz jest jedną z rewelacji rozgrywek - kilka razy była liderem, a przez długi czas zajmowała drugą pozycję. Cartusia na wyjazdach

nie uznaje kompromisów bowiem 4 razy zwyciężyła i doznała 5 porażek. Elanę czeka trudne spotkanie, ale nadarza się okazja do rewanżu za porażkę 2:4 w pierwszym meczu.

Rafał Więckowski, trener Torunian nie ukrywa, że jego zespół wiosną grać będzie o awans i puchar.

- Przygotowania do rundy rewanżowej przebiegały bez większych problemów. Mieliśmy bowiem szczęście, że na miejscu do naszej dyspozycji było boisko pod balonem. Tam mogliśmy trenować i rozgrywać sparingi. Naszym celem jest awans do Betcllic 2. Ligi oraz zdobycie regionalnego Pucharu Polski. Dokonaliśmy dobrych transferów, a ponadto bardzo wierzę, że piłkarze pozyskani latem poznali już na tyle nasz styl gry i wkomponowali się w drużynę, że będą jeszcze silniejszymi punktami zespołu - przewiduje szkoleniowiec.

Wyniki sparingów Elany: 1:1 z GKS Wikielec, 2:1 z Wartą Poznań, 3:3 z Olimpią Grudziądz, 2:2 z Wisłą II Płock, 1:0 z Sokołem Kleczew, 3:2 z KKS Kalisz i 4:0 ze Spartą Brodnica.

Transfery Elany: przyszedli - Kacper Skibicki (ofensywny pomocnik z KKS Kalisz), Konrad Gutowski (ofensywny pomocnik z Chojniczanki Chojnice); odeszli - Alan Madaliński (bramkarz - bez klubu), Gabriel Estigarribia (obrońca - bez klubu), Vadim Sologub (pomocnik do Wybrzeża Rewalskiego Rewal).

Wda liczy na najlepszy wynik w historii klubu

Świeciance rundę wiosenną rozpoczną domowym meczem z Lipnem Stęszew (sobota, godz. 12). Wda zajmuje 10. lokatę z dorobkiem 26 pkt., zaś beniaminek jest siódmy (30 pkt.). Gospodarze mają u siebie bilans spotkań 5-0-4, zaś goście w delegacjach 4-1-4. Jak widać rywale rzadko remisują, więc można spodziewać ciekawego spotkania o pełną pulę. W sierpniu w Stęszewie Wda zremisowała 2:2.

Trener Krzysztof Urtnowski stawia przed rundą wiosenną ambitne cele przed swoim zespołem.

- Podczas okresu przygotowawczego nie rozpieszczała nas pogoda, ale rozegraliśmy aż sześć sparingów, a na treningach zrealizowaliśmy wszystkie założenia. W czekających nas meczach chcemy wywalczyć średnią 1,5 punktu. To powinno zagwarantować miejsce w czołowej ósemce tabeli, co by było najlepszym wynikiem w historii klubu. Zamierzamy też powalczyć o regionalny Puchar Polski. Zadowolony jestem z transferowych ruchów bowiem pozyskaliśmy młodych, ambitnych zawodników - mówi szkoleniowiec ze Świecia.

Wyniki sparingów Wdy: 1:1 z Akademią Widzewa, 1:1 z Concordią Elbląg, 1:1 z Wisłą II Płock, 1:1 Chojniczanką II Chojnice, 2:2 z KP Starogard Gdański, 2:3 z Unią Wąbrzeźno.

Transfery Wdy: przyszedli - Jan Bigos (obrońca - z Pogoni Nowe Skalmierzyce), Julian Solec Kujawski, Damian Stasiowski (pomocnik z Tłuchowii Tłuchowo), Kajetan Wojciechowski (obrońca z Unii Wąbrzeźno); odeszli - Jarosław Tkaczyk (bramkarz - koniec wypożyczenia z Unii Solec Kujawski), Kamil Lipka (obrońca - bez klubu), Maciej Cichocki (ofensywny pomocnik - bez klubu), Diogo Gomes (pomocnik - bez klubu), Filip Kraska (bramkarz - do Wisły II Płock), Mateusz Brzeziński (pomocnik - do Pomorzana Toruń), Kacper Wolert (pomocnik - bez klubu), Patryk Leszczyński (obrońca - bez klubu), Adrian Szczutowski (napastnik - do Mazovii Mińsk Mazowiecki), Wojciech Mazurowski (obrońca - do Stoczniowca Płock).

Revolucja ma dać Tłuchowii utrzymanie

Trudny wyjazd czeka na inaugurację wiosny beniaminka z Tłuchowa. Zespół z dorobkiem zaledwie 15 pkt. jest przedostatni w tabeli, ale do bezpiecznego miejsca niewiele traci. Pierwszy krok do utrzymania się w Betcllic 3. Lidze ekipa z Kujaw zamierza zrobić w sobotę (godz. 12) w Świnoujściu. O punkty będzie jednak ciężko bowiem Flota jest zaprawiona w III-ligowych bojach i od lat zalicza się do czołówki. W bieżącym sezonie Wyspiarze nie zachwycają jednak i mając na koncie 28 pkt. są na 8. miejscu. W pierwszym meczu w Tłuchowie goście wygrali 1:0.

W zimowej przerwie w Tłuchowii doszło do prawdziwej kadrowej rewolucji, która ma jednak zapewnić utrzymanie.

- Z zespołu odeszło 11 zawodników, i tyle samo pozys-

skaliśmy. Przyszli do nas piłkarze z różnych regionów Polski. Uznaliśmy bowiem, że drużyna nie grała jesienią, tak jak oczekiwaliśmy. Brakowało nam przede wszystkim aktywności i jakości w ataku. Mam nadzieję, że nowi zawodnicy uratują trzecią ligę dla Tłuchowa. Pogoda zakłócała nam przygotowania do wiosny, ale nie będziemy na to narzekać. Wszystkie drużyny miały podobne problemy - mówi trener Arkadiusz Bator.

Wyniki sparingów Tłuchowii: 1:0 z Wisłą II Płock, 1:1 z Talentem Warszawa, 1:2 z Sokołem Aleksandrów Kujawski, 3:0 z Bronią Radom, 0:4 ze Świttem Nowy Dwór Mazowiecki.

Transfery Tłuchowii: przyszedło 11 zawodników. W chwili zamykania wydania klub ogłosił tylko pozyskanie napastnika Michała Kaczmarę (był bez klubu) i obrońcy Mateusza Lusiusza ze Skry Częstochowa; odeszli - Julian Kolbus (ofensywny pomocnik - do Wdy Świecie), Aleksandr Horvat (obrońca - do Unii Solec Kujawski), Kamil Lipka (obrońca - bez klubu), Maciej Cichocki (ofensywny pomocnik - bez klubu), Diogo Gomes (pomocnik - bez klubu), Filip Kraska (bramkarz - do Wisły II Płock), Mateusz Brzeziński (pomocnik - do Pomorzana Toruń), Kacper Wolert (pomocnik - bez klubu), Patryk Leszczyński (obrońca - bez klubu), Adrian Szczutowski (napastnik - do Mazovii Mińsk Mazowiecki), Wojciech Mazurowski (obrońca - do Stoczniowca Płock).

Olimpia chce pójść za ciosem i znowu wygrać

Drugą kolejkę spotkań rundy wiosennej rozegrają w weekend zespoły Betcllic 2. Ligi. Zespół z Grudziądza po cennym zwycięstwie 2:1 w Nowym Targu z Podhalem podejmować będzie (niedziela, godz. 12) Resovię Rzeszów. Biało-zieloni awansowali na trzecie miejsce w tabeli i mając jeden mecz rozegrany więcej tracą punkt do drugiej Warty Poznań i cztery do lidera ze Skiermiewic.

Rzeszowianom też udało się rozegrać pierwsze spotkanie (aż sześć odwołano z powodu złego stanu boisk) wiosny. Na własnym stadionie pokonali 2:0 Hutnika Kraków i wskoczyli na 6. lokatę, czyli do strefy barażowej o awans do Betcllic 1. Ligi. W sierpniu nad Wisłokiem Olimpia zremisowała z Resovią 1:1.

©©

SPORT

www.sportowy24.pl

KH Energa gra o półfinał.
„Nie kalkulujemy, jedziemy
po dwa zwycięstwa”Joachim Przybył
joachim.przybyl@polskapress.pl

HOKEJ. KH Energa rozpoczyna rywalizację o wymarzony półfinał Tauron Hokej Ligi. Rywalem Unia Oświęcim, z którym torunianom idzie w tym sezonie świetnie.

Dwa ostatnie sezony to porażki po 2:4 po wyrównanych i emocjonujących seriach z JKH GKS Jastrzębie. Jeszcze więcej emocji w tej parze było w 2022 roku: torunianie przegrali awans do półfinału dopiero w siódmym meczu 3:4.

- Dobrze że znowu nie musimy grać z Jastrzębiem, przegraliśmy kilka lat z rzędu po bardzo wyrównanych seriach i to w głowie siedzi. Teraz mamy do brze znanego przeciwnika, udało nam się wygrać kilka meczów w tym sezonie, jest optymizm - mówi Robert Fraszko, dyrektor sportowy klubu.

Z Unią Oświęcim torunianie mierzyli się po raz ostatni w play off w 2023 roku i wtedy przegrali serię ćwierćfinałową 1:4. Gdyby teraz analizę szans obu drużyn oprzeć na wynikach sezonu zasadniczego, to faworytem byłby nasz zespół. Z pięciu bezpośrednich meczów KH Energa wygrał aż cztery, w tym dwa razy na wyjeździe i trzy ostatnie z rzędu. Jedyna porażka to początek grudnia i 3:6 w Oświęcimiu. Po raz ostatni drużyny zmierzyły się raptem tydzień temu. Przy remisie 2:2 gospodarze wycofali bramkarza, żeby zagrać o pełną pulę, ale to Robert Arrak strzelił decydującego gola na 0,1 sekundy przed końcem.



Ostatni mecz wyjazdowy torunianie w Oświęcimiu wygrali 3:2 niedawno, bo 20 lutego

Nieco mniej optymistycznie nastrojają ostatnie tygodnie w wykonaniu toruńskiej drużyny. W ostatniej rundzie z ośmiu meczów udało się wygrać tylko trzy, w tym jeden walkowerem.

Robert Fraszko podkreśla, że w ostatnim meczu z GKS Tychy widać było już poprawę (5:6 po dogrywce - dop. red.). - Były w pewnym momencie problemy ze skutecznością, mogły wynikać z cięższych treningów w czasie przerwy w lidze dla kadry. Teraz to się poprawia w każdym meczu i jestem przekonany, że mecz z GKS był takim przełomem. Spodziewam się wyrównanej rywalizacji z Unią. Będziemy dobrze przygotowani, cały czas analizujemy grę rywala, szukamy swoich szans. Do Oświęcimia jedziemy przynajmniej po jedno zwycięstwo, a dwa to byłoby już wspaniale - zapowiada Robert Fraszko.

Kamil Kalinowski: - To dobrze, że trafiliśmy na Unię, wyniki wcześniejsze wskazują, że to rywal dla nas. Wydaje mi się, że słabszą stroną Unii jest pozycja bramkarza, Lundin broni nierówno, a Tyczyński jest młodym zawodnikiem bez doświadczenia w play off. Chcemy ich męczyć od pierwszego i oddawać jak najwięcej strzałów. Słychać także, że są tarcia z trenerem w szatni, to też możemy wykorzystać. Plan jest prosty: do Oświęcimia jedziemy po dwa zwycięstwa.

Pierwsze dwa mecze ćwierćfinału w sobotę (18.00) i niedzielę (17.00) w Oświęcimiu. Na Torze drużyny spotkają się w środę i czwartek. Do awansu potrzebne są cztery zwycięstwa. ©

LEKKOATLETYKA

Udane halowe mistrzostwa Polski U18 i U20

Zawodnicy z regionu w Rzeszowie zdobyli 9 medali (3-2-4). Na najwyższym stopniu podium stanęli: Maksymilian Kania (CWZS Zawisza Bydgoszcz), Nina Baturo (Olimpia Grudziądz) i Emilia Michalak (MKLTlen Mogilno). Srebrne medale odebrali: Mikołaj Glaza (Zawisza) i Mateusz Margiel (Nadwiślanin Chełmno), a brązowe: Julia Piotrowska, Hubert Wałęga (oboje Nadwiślanin), Maja Zbielska (BKS Bydgoszcz) i Jakub Procek (LZS Kruszwica). (szcz)



FOT. PAWEŁ SKRABA

TENIS STOŁOWY

Wyłonili mistrzów regionu

Indywidualne mistrzostwa Kujawsko-Pomorskiego młodzieżowców połączono z elim. do MP. W kat. kobiet wygrała Agnieszka Piłat (LUKS Chełmno), a u panów Gracjan Kęsik (KS Nowa Era Toruń). (szcz)

KRÓTKO



FOT. ARKADIUSZ WOLTASIEWICZ

SIATKÓWKA

Ważne rozstrzygnięcia w obu ligach

Ważne zwycięstwo w kontekście walki o utrzymanie się w PLS 1. Lidze odnieśli bydgoscy siatkarze. Na swoim boisku w zaległym meczu pewnie pokonali SMS PZPS. Zwycięstwo nad młodzieżą ze Spawy było obowiązkowe. Rywale są ostatni w tabeli, dotąd wygrali tylko trzy mecze. Ekipa BKS zajmuje z kolei 12. lokatę, z kilkupunktową przewagą nad strefą spadkową.

BKS Bydgoszcz - SMS PZPS Spala 3:0 (25:19, 25:21, 25:19)

BKS: Narkowicz 7, Bień 1, Kraut 12, Golik 5, Szarek 12, Lisicki 16, Dzierżyński (libero), Ramotowski 0
SMS: Lenik 1, Przybyłkowicz 1, Trawka 8, Ślusarz 9, Potempa 9, Leppert 3, Schadach (libero), Hofmann 0, Głowa 1, Guzy 1, Sawicki 4, Racyński 1

Bydgoska ekipa nie ma czasu na odpoczynek. Już w sobotę na swoim boisku zmierzy się z trzecią drużyną tabeli - GKS Katowice. Początek spotkania o godzinie 18.00. O utrzymanie pozycji lidera w sobotę walczyć będą CUK Anioły. Torunianie podejmą Czarnych Radom, 11. drużynę tabeli. Mecz rozpocznie się o godzinie 17.00. A już dziś w Bydgoszczy o kolejne ligowe punkty i utrzymanie się w czołowej ósemce powalczą Metalaks Pałac. Bydgoszczanki zmierzą się z Volley Wrocław, jedną ze słabszych ekip w lidze. Początek spotkania o godz. 17.30. (ds)

LOTTO
ŚRODA, 25.02

Multi Multi, godz. 22.00

5, 16, 17, 18, 20, 30, 32, 37, [38], 39, 41, 50, 55, 57, 63, 65, 74, 76, 79, 80

Kaskada, godz. 22.00

2, 4, 5, 7, 10, 13, 14, 15, 18, 22, 23, 24

Mini Lotto

23, 30, 31, 35, 40

Ekstra Pensja

3, 12, 18, 24, 30 - 3

Ekstra Premia

7, 13, 20, 25, 26 - 1

CZWARTEK, 26.02

Multi Multi, godz. 14.00

1, 22, 23, 27, 32, 34, 36, 37, 39, 41, 42, 43, 45, 49, 50, 56, 58, [68], 73, 80

Kaskada, godz. 14.00

1, 2, 3, 4, 8, 13, 16, 18, 19, 21, 22, 24

Po medale i minima
na mistrzostwa świataJoachim Przybył
joachim.przybyl@polskapress.pl

LEKKOATLETYKA. Po międzynarodowych emocjach w Orlen Copernicus Cup teraz będziemy dopingować najlepszych w rywalizacji o medale Halowych Mistrzostw Polski.

Na nowej toruńskiej bieżni zobaczymy wiele gwiazd pierwszego rzędu tego sezonu halowego, a także lekkoatletów, którzy wciąż walczą o minimum na Halowe Mistrzostwa Świata w Toruniu (20-22 marca). Poziom jest więc gwarantowany i z pewnością kibice zobaczą wiele znanych i nowych gwiazd.

Autorem jednego może być Jakub Szymański, lider list światowych i niepokonany w całym sezonie na 60 m przez płotki. Świetnie z nową bieżnią Areny Toruń przywitała się Maria Żoździł, która jest aktualnie trzecia w rankingu skoczek w wzwyż. - Jeszcze nie jestem do końca zadowolona ze swojej formy, nie każdy rozbieg wychodzi tak, jakbym chciała. Mam nad czym pracować. Pierwszy raz w Orlen Copernicus odczułam, co oznacza wsparcie kibiców - mówi wicemistrzyni świata, która skoczyła w Toruniu 198 cm.

Pia Skrzyszowska zapewne spróbuje odzyskać fotel liderki światowej na płotkach, który w Orlen Copernicus Cup straciła na rzecz mistrzyni świata Devon Charlton. - Wynik 7.77 jakoś nie jest mi pisany, zawsze chciałam



FOT. LUKASZ SZEŁĄG

Torunianka Anna Matuszewicz będzie wielką faworytką do złota w skoku w dal

zobaczyć trzy siódemki na mecie. Może lepiej, że nie jestem liderką? Rok temu zaskoczyłam z niższej pozycji w rankingu - mówi nasza płotkarka.

To będzie ważny start dla Mariki Popowicz-Drapały, która wraca do wielkiego ścigania po ponad rocznej przerwie. Bydgoszczanka marzy o miejscu w sztafecie 4x400 m na Halowe Mistrzostwa Świata. Wielką faworytką do złota oczywiście Natalia Bukowiecka, która w sezonie halowym będzie startować wyłącznie w Toruniu. W Orlen Copernicus Cup pobięła z trzecim czasem w historii polskiej lekkiej atletyki. - Nie byłam do końca zadowolona, muszę się obiegać, bo nie mam wielkiego doświadczenia w hali. Myślę, że da się poprawić ten wynik na mi-

strzostwach Polski - zapowiada Bukowiecka.

Spodziewamy się także wielu sukcesów sportowców z regionu. Anna Matuszewicz zapowiada rewanz po nieudanym Orlen Copernicus Cup, Mateusz Kołodziejki jest jednym z najlepszych na świecie skoczków w hali, kapitalnie zapowiada się rywalizacja o złoto w pięcioboju Adrianny Sułek-Schubert i Pauliny Ligarskiej, no i zobaczymy w Polsce wrocławiankę Klaudię Kazimierską, rekordzistkę Polski na 1500 m, która właśnie dołożyła minimum na HMS także na 800 m.

W sobotę początek emocji o godz. 11.00, ostatni finał (60 m pl k) zaplanowano na godz. 22.13. W niedzielę pierwsze starty o godz. 10.00, ostatni finał (4x200 m) o godz. 18.00. ©

Derby pań, lżejsze wyzwanie dla lidera

Joachim Przybył
joachim.przybyl@polskapress.pl

KOSZYKÓWKA. Derby Energa Toruń - Artego Bydgoszcz - hitem weekendu w regionie. Gra także reprezentacja.

Derby w hali treningowej Areny Toruń zostaną rozegrane w niedzielę o godz. 20.30 i to będzie ostatni mecz sezonu zasadniczego. Wiadomo już, że może być istotny jedynie dla gospodyń, które bronią 6. miejsca w tabeli. Do osiągnięcia celu będzie potrzebne zwycięstwo z Artego

tylko wtedy, jeżeli VBW Gdynia pokona Zagłębie Sosnowiec, ten mecz rozpocznie się o godz. 17.00. Dla Artego derby to już wyłącznie prestiż, seria trzech porażek z rzędu rozwiała marzenia bydgoszczanek o play off.

W lidze tym razem łatwiejsze zadanie Enea Abramczyk Astorii. Bydgoszczanie pędzą po triumf w sezonie zasadniczym niczym ekspres i w niedzielę o godz. 18.00 powinni sobie poradzić z Politechniką Opole, to trzeci zespół od końca. Za ich zwycięstwo będą trzymać kciuki w Inowro-

clawiu, bo Politechnika to jeden z rywali Qemetica Noteci w walce o utrzymanie. Ekipa Krzysztofa Szubargi wybiera się tymczasem do Tychów, mecz z GKS w sobotę o godz. 15.00.

Anwil Włocławek i Arriva Lotto Toruń budują formę na decydującą część sezonu zasadniczego i będą jedynie kibicować reprezentacji Polski. Drużyna Igora Milicicia rozegra dwa kolejne mecze kwalifikacji mistrzostw świata z Łotwą, w piątek o 18.30 w Rydze, w niedzielę o 20.30 w Gdyni. Transmisje w TVP Sport. ©